

Afryka południowa 2011

W tym roku plan był prosty, odwiedzić Namibię i Botswanę. Te kraje można zwiedzać tylko wypożyczonym samochodem, który najtaniej można wypożyczyć w RPA. Obliczyliśmy, że podróż po tych trzech krajach zajmie nam dokładnie miesiąc, dlatego drugi miesiąc postanowiliśmy wykorzystać na plaże Mozambiku, odwiedzić jezioro Malawi i wpaść do parku narodowego South Luangwa w Zambii. Wyjechaliśmy dosyć późno, bo na koniec pory suchej (najlepsza do oglądania zwierząt), ale deszcze złapały nas dopiero w Malawi, pod koniec podróży. Poniżej znajduje się relacja z naszej podróży. Zdjęcia z naszej wyprawy znajdują się na stronie plecakowicz.pl/foto a filmy są na stronie www.youtube.com/user/plecakowicz. Życzymy miłego czytania i oglądania zdjęć oraz filmów. Będziemy wdzięczni za wszystkie uwagi przesłane na e-mail: plecakowicz@gmail.com.

1. Spostrzeżenia z wyprawy

RPA jest dla nas jednym z najciekawszych krajów na świecie ze względu na różnorodność (krajobrazową, kulturalną, wyznaniową i społeczną). To poza USA chyba jedyny kraj, w którym moglibyśmy zamieszkać, gdybyśmy mieli kiedykolwiek opuścić naszą ukochaną ojczyznę. Wbrew obiegowym opiniom oraz sztucznie podkręcanej atmosferze przez białoskórych mieszkańców tego kraju jest to całkiem bezpieczne miejsce. W RPA ciężko poczuć klimat prawdziwej czarnej Afryki, ale dostęp do dobrego i różnorodnego jedzenia, łatwość w podróżowaniu oraz niewygórowane - jak na tą część Afryki - koszty podróżowania rekompensują w zupełności tę wadę. Jeśli chcesz znaleźć kawałek Afryki (np. rewelacyjne parki narodowe z wielką piątką i nie tylko), USA (sposób podróżowania, wszechobecne grillowanie - braii w języku afrykanerskim, centra handlowe) oraz Europy (elementy językowe, kulinarne, architektoniczne i kulturalne po Holendrach) w jednym kraju, to RPA będzie doskonałym wyborem. Bardzo się cieszymy, że nasza opinia o tym kraju nie zmieniła się wraz z upływem lat i doświadczeń podróżniczych. Odwiedziliśmy go już drugi raz i wciąż mamy ochotę na więcej.

Namibia była już od etapu planowania wyjazdu sercem całej wyprawy. Trochę baliśmy się nadziei pokładanych w podróży do tego kraju, bo wówczas łatwo jest o rozczarowanie, ale na szczęście nic takiego się nie zdarzyło. Namibia urzekła nas swoją przyrodą oraz ciszą i pustką, jakiej można tam doświadczyć. Do niezapomnianych należą długie, często szutrowe drogi, na których nie ma prawie nikogo innego. Dodatkowo krajobrazy dookoła powodują, że co chwilę chciałoby się zrobić przerwę na zdjęcie. Ciekawym doświadczeniem jest zobaczenie małych niemieckich miasteczek w Afryce, zjedzenie bratwursty z kiszoną kapustą na pustyni oraz odwiedzenie wioski zamieszkałych przez różne afrykańskie plemiona. Do tego możliwość zobaczenia takich cudów natury jak choćby wydmy wokół Sossusvlei oraz obserwowanie dniem i nocą zwierząt w parku narodowym Etosha gwarantują, że pobyt w Namibii nie może być nieciekawym czy nieudany.

Botswana jest idealnym miejscem podróżników uwielbiających safari. W kraju znajduje się wiele znakomitych parków narodowych oraz rezerwatów pozwalających na poznawanie w dość kameralnym/ekskluzywnym gronie (może z wyjątkiem dostępnego szerszemu gronu parku narodowego Chobe) zwierząt afrykańskich. To właśnie w Botswanie w Moremi Game Reserve udało nam się zobaczyć po raz pierwszy w życiu i to w ciągu dnia wylegującego się dzikiego lamparta. Zwierzęta ogląda się tu zarówno podróżując jeepem, jak i z łódki, czy nawet samolotu podczas lotu nad Deltą Okavango. Szkoda tylko, że kraj jest nastawiony na bogatych turystów i oferta dla backpackerów jest tak ograniczona.

W **Mozambiku** udało nam się nareszcie wypocząć po trudach intensywnego podróżowania samochodem po RPA, Namibii i Botswanie. Liczne plaże i wodne atrakcje z pewnością temu sprzyjają. Myliłby się jednak ten, kto uważa, że podróżowanie po Mozambiku to czysta przyjemność. Niestety z powodu dużych dystansów i dziwnych pór odjazdu autobusów niejednokrotnie musieliśmy zrywać się w środku nocy, by dostać się do kolejnej miejscowości. Poza tym Mozambik to nie tylko plaże, nurkowanie, snorkeling i archipelagi, to także urokliwe zabytkowe miasto Ilha de Mozambique, historyczna zabudowa Ibo, wspaniałe owoce morza przyrządzane w iście królewski sposób czasem na prymitywnych kuchenkach czy ogniskach i cała kultura portugalska z jej najważniejszym akcentem - językiem. Mozambik będzie nam się również miło kojarzył z innego względu - trafiliśmy tam na sezon mango, jednych z najlepszych naszym zdaniem owoców. Mozambik to również kraj kontrastów, o czym przekona się każdy kto przebył drogę z południa na północ lub na odwrót.

Do **Malawi** wjeżdżaliśmy z pewnymi obawami. Niestety w 2011 roku rozpoczął się tam długotrwały kryzys paliwowy, powodujący problemy w podróżowaniu. Dodatkowo prezydent uciekł z kraju, brak jest pomysłów na uzdrowienie sytuacji gospodarczej a miejscowa ludność ledwo wiąże koniec z końcem. To także jeden z krajów, w którym jest najwyższy wskaźnik chorych na AIDS. Na szczęście okazało się, że większość mieszkańców Malawi pomimo tych przeciwności stara się pogodnie żyć i życzliwie odnosić się do przyjezdnych. Szkoda, że duża część hosteli należy do obcokrajowców, bo dobre pieniądze nie trafiają bezpośrednio do kieszeni miejscowej ludności. Z drugiej strony, być może gdyby nie zagraniczni inwestorzy, backpackerzy nie mieliby gdzie się zatrzymywać, co również byłoby ogromną stratą, gdyż Malawi ma wiele do zaoferowania. Oczywiście najpiękniejsze jest jezioro Malawi, które zaskakująco kojarzy się nie z jeziorami, ale egzotycznym morzem.

W **Zambii** byliśmy przejazdem 6 lat temu i kraj ten wydawał nam się nieprzyjazny (mieliśmy wówczas bardzo nieprzyjemną przygodę z taksówkarzem w Lusace). Ogólnie więc mówiąc, gdyby nie pozytywne recenzje innych podróżników na temat parku narodowego South Luangwa, to pewnie naszą podróż zakończylibyśmy w Lilongwe. Postanowiliśmy dać Zambii jednak jeszcze jedną szansę i tym razem się nie zawiedliśmy. Choć ze względu na porę deszczową i wysokie koszty safari (takie jak w Botswanie) odwiedziliśmy tylko ten jeden park narodowy, to wydaje nam się, że Zambia niesłusznie jest klasyfikowana pod tym względem niżej niż jego sąsiedzi. Na dowód tego możemy jedynie powiedzieć, że podczas każdego nocnego safari udało nam się zobaczyć polujące lamparty. Kto próbował zobaczyć te zwierzęta wie jaki to rarytas. Dodatkowo udało nam się zobaczyć również zambijską stronę wodospadów Wiktorii, która również krzywdząco przedstawiana jest jako mniej ciekawa niż strona zimbabweńska.

2. Ocena miejsc

Poniżej znajduje się **ocena miejsc, w których byliśmy** wg następującej skali ocen: 1 – badziewie, 2 – nieciekawe, 3 – nic specjalnego, 4 – takie sobie, 5 – może być, 6 – całkiem ciekawe, 7 – warto zobaczyć, 8 – trzeba zobaczyć, 9 – szczególnie polecamy, 10 – trzeba koniecznie zobaczyć:

- **RPA [9/10]:** Cape Town [10/10], Robben Island [8/10], Kirstenbosch [7/10], Groot Constantia [7/10], Betty's Bay [7/10], Hermanus [6/10], Cape Agulhas [7/10], Kruger NP [9/10], Pilanesberg NP [7/10], Sun City [6/10], Lion and Rhino Nature Reserve [10/10], Sterkfontain [7/10], Soweto [7/10]
- **Namibia [9/10]:** Ai-Ais [7/10], Fish River Canyon [8/10], Luderitz [8/10], Duwisib Castle [6/10], Dead Vlei/Sossusvlei/Namib-Naukluft NP [10/10], Swakopmund [6/10], Moon Landscape [5/10], Welwitschia Drive [5/10], Spitzkoppe [6/10], Cape Cross [8/10], White Lady [7/10], Petrified Forest [5/10], Twyfelfontein [7/10], Opuwo [10/10], Otjitotongwe [9/10], Etosha [10/10], Tsumkwe [2/10], Popa Falls [1/10], Mahango Game Reserve [5/10]
- **Botswana [7/10]:** Delta Okavango mokoro [5/10], Delta Okavango lot [7/10], Moremi GR [10/10], Chobe NP [8/10], Khama Rhino Sanctuary [7/10]
- **Mozambik [7/10]:** Maputo [5/10], Tofo Beach [7/10], Bazaruto [8/10], Benguera [7/10], Magaruque [4/10], Mozambique Island [9/10], Ibo Island [7/10], Matemo [7/10]
- **Malawi [7/10]:** Liwonde NP [6/10], Cape Maclear [9/10]
- **Zambia [7/10]:** South Luangwa NP [10/10], Victoria Falls [10/10], Lusaka [2/10]

3. Dziennik podróży

12.10.2011 Wrocław -> Muenchen

Wieczorem o 19:00 lecimy do Monachium skąd po krótkiej przerwie odlatujemy do Johannesburga. Lecimy wygodnym Airbusem A340-600, w którym możemy sobie oglądać filmy z całkiem bogatego zestawu. Podróż mija całkiem przyjemnie, jednak udaje nam się przespać tylko kilka godzin.

13.10.2011 Muenchen -> Johannesburg -> Cape Town (40 km)

Przed 9:00 lądujemy w Johannesburgu. Do kolejnego samolotu mamy około trzech godzin, które spędzamy na kręceniu się po lotnisku i zjedzeniu pizzy. Wolelibyśmy lecieć bezpośrednio do Kapsztadu, ale ten lot był droższy. Może dlatego, że na tej trasie lata Airbus A380, czyli największy samolot pasażerski na świecie.

Po 14:00 lądujemy w Cape Town. Byliśmy tu już sześć lat temu. Wtedy szukaliśmy autostopu z lotniska, bo busik z lotniska był dla nas zbyt drogi. Tym razem nauczeni doświadczeniem odbieramy z wypożyczalni samochód, który jest tu najwygodniejszym i często najtańszym środkiem podróży. Szukaliśmy taniego samochodu i dostaliśmy malutki Hyundai Atos, który będzie nam towarzyszył przez pierwszy miesiąc podróży przez RPA, Namibię i Botswanę.

Z lotniska jedziemy do centrum, gdzie zatrzymujemy się w znanym już nam hostelu Cat&Moose. Później jedziemy jeszcze zobaczyć latarnię na Green Point oraz zwiedzamy pobliski Waterfront, gdzie znajdują się dziesiątki sklepów i restauracji. Dzisiaj akurat odbywa się tu wystawa samochodów Ferrari. W afrykańskie rytmy wprowadza nas uliczny zespół, który także sprzedaje własną płytę CD.

14.10.2011 Cape Town -> Robben Island -> Kirstenbosch -> Groot Constantia -> Cape Town (90 km)

Rano jedziemy samochodem na Waterfront, skąd o 9:00 odplywa statek na Robben Island. Bilety są wyprzedane kilka dni wcześniej, ale my swoje kupiliśmy jeszcze w Polsce przez internet. Na Robben Island zwiedzamy sławne więzienie, w którym przetrzymywani byli więźniowie polityczni, w tym Nelson Mandela, w czasach apartheidu. Po więzieniu oprowadza nas były więzień polityczny, który odbywał tu swój wyrok. Na Robben Island jest także doskonały punkt widokowy na Kapsztad i Table Mountain, jednak podczas naszego pobytu jest pochmurnie i widoczność jest zbyt słaba.

Okolo 12:30 wracamy do Kapsztadu i udajemy się do Kirstenbosch, sławnych ogrodów leżących pod Kapsztadem. Ogrody są ogromne i przez godzinę udaje nam się zwiedzić jedynie ich część. Następnie jedziemy do Groot Constantia, winnicy z białymi domami zbudowanymi przez holenderskich kolonizatorów. Zwiedzamy tam manor house, który jest domem-muzeum z wyposażeniem z czasów kolonialnych. Po powrocie do Kapsztadu wjeżdżamy na Signal Hill, skąd podziwiamy panoramę całego miasta oraz Table Mountain. Widoki są przepiękne, ale jest pochmurno.

15.10.2011 Cape Town -> Betty's Bay -> Hermanus -> Cape Agulhas -> Cape Town (750 km)

Dzisiaj organizujemy sobie całonocną wycieczkę na Cape Agulhas. Na początku jedziemy do Betty's Bay, gdzie oglądamy wielką kolonię pingwinów. Później jedziemy drogą zwaną Whale Coast do Hermanus. Tam odwiedzamy Grotto Beach, która jest jednym z polecanych miejsc na oglądanie wielorybów, ale nic nie udaje nam się zaobserwować. Następnie próbujemy dojechać do Cape Agulhas najkrótszą drogą, czyli przez Gansbaai, ale asfalt się kończy i zmuszeni jesteśmy wracać i część drogi przejechać szutrem. Nasza wina, bo nie kupiliśmy dobrej mapy a nasz przewodnik nie pokazuje, która droga jest szutrowa, a która asfaltowa. Przed 15:00, z dwugodzinnym opóźnieniem, docieramy do Cape Agulhas, czyli Przylądka Igielnego, najbardziej wysuniętego na południe kawałka Afryki, gdzie spotykają się Ocean Indyjski z Oceanem Atlantyckim. Robimy sobie zdjęcia przy tablicy pamiątkowej. Wiatr jest tak silny, że ciężko się utrzymać na nogach. W pobliżu jest także latarnia, z której oglądamy panoramę przylądka oraz pobliskiej miejscowości o tej samej nazwie. Wracając chcemy wstąpić do De Hoop Nature Reserve, jednak jadąc dobrą drogą nie udaje nam się odnaleźć zjazdu na ten park. Prawdopodobnie i tak było już za późno, bo dojechalibyśmy tak na zachód słońca. Wracamy do Kapsztadu z krótkim postojem w Stellenbosch, mieście, które bardzo nam się podobało podczas naszego pierwszego pobytu w RPA.

16.10.2011 Cape Town -> Clanwilliam (1020 km)

Jeszcze przed wyjazdem w stronę Namibii zostawiliśmy sobie do zwiedzenia Kapsztad. Chcemy wjechać kolejką na Table Mountain, ale od kilku dni kolejka nie jeździ z powodu zbyt dużego wiatru. Dzisiaj rano pogoda jest ładna, ale kolejka też nie jeździ. Jedziemy za to Signal Hill, aby poprawić zdjęcia, bo te sprzed dwóch dni były w brzydkiej pogodzie. Następnie jedziemy do dzielnicy Bo Kaap z ślicznymi, kolorowymi domkami. Później jedziemy do centrum handlowego Canal Walk, gdzie kupujemy małą kuchenkę gazową (bush baby), garnek, patelnie, które przydadzą się

w dalszej podróży. Wracając z Canal Walk widzimy poruszające się w oddali wagony kolejki na Table Mountain. Jedziemy więc na dolną stację kolejki, gdzie udaje nam się kupić bilety. Po około 30 minutach oczekiwania wsiadamy do wagonu i wjeżdżamy na szczyt. Jesteśmy na wysokości 1000 mnpm i wieje bardzo silny wiatr. Widoki są przepiękne. Oglądamy Kapsztad z różnych punktów widokowych i zjeżdżamy w dół. Mieliśmy szczęście, bo kolejka już nie wwozi nowych ludzi na szczyt, bo jest zbyt duży wiatr. Jest już po 16:00, gdy wyjeżdżamy z Kapsztadu kierując się na północ. Po zmierzchu dojeżdżamy w okolice Cederbergu, do Clanwilliam, gdzie zatrzymujemy się na nocleg.

17.10.2011 Clanwilliam -> Ai-Ais (1757 km)

Rano testujemy naszą kuchenkę gazową robiąc na niej herbatę i jajecznicę. Po śniadaniu wyjeżdżamy w kierunku granicy. Przed granicą, którą stanowi Orange River, rozważamy zrobienie spływu tą rzeką, ale szutrowa droga na kemping, z którego spływ jest organizowany jest nieprzejezdna dla naszego samochodu. Nic chyba nie tracimy, bo sama Orange River płynie bardzo spokojnie i ma niezbyt wysoki poziom, ponieważ jesteśmy w porze suchej. Dość sprawnie przekraczamy granicę z Namibią. Wizę mieliśmy załatwioną w Berlinie. Na granicy wypełniamy tylko formularze i płacimy opłatę za wjazd samochodem. Następnie jemy obiad, tankujemy samochód i jedziemy dalej na północ. Skręcając z głównej drogi w stronę Fish River Canyon kończy się asfalt i jedziemy drogą szutrową. Droga jest w całkiem niezłym stanie i przez większość czasu dają się nią jechać dopuszczalne 80 km/h. Drogi są tak puste, że przez 150 km nie widzimy żadnego samochodu. Na zachód słońca docieramy do Ai-Ais, gdzie zatrzymujemy się na kempingu. Przed zapadnięciem zmierzchu udaje nam się jeszcze ochłodzić w basenie. Później gotujemy sobie obiadokolację i idziemy spać.

18.10.2011 Ai-Ais -> Fish River Canyon -> Luderitz (2258 km)

To była nasza pierwsza noc pod namiotem. Kupiliśmy tani namiot, który zamierzamy zostawić w Afryce, gdy już nie będzie nam potrzebny. Namiot był reklamowany jako samorozkładalny i rzeczywiście po wyjęciu go z opakowania sam się rozłożył. Pozostało tylko przytwierdzenie go do podłoża za pomocą śledzi. Złożenie namiotu już nie było takie proste, ale pierwszy raz jest najtrudniejszy.

Po śniadaniu jedziemy do Fish River Canyon. Cały czas szuter. Droga jest czasami dobra a czasami trzeba jechać 20 km/h. Około 11:00 dojeżdżamy do Fish River Canyon, który bardzo nam się podoba. Później jedziemy na północ i dojeżdżamy do głównej, asfaltowej drogi prowadzącej do Luderitz. Teraz możemy jechać przepisowe 120 km/h. Po drodze odwiedzamy punkt obserwacyjny dzikich koni namibijskich, jednak koni tam nie ma. Za to przy drodze widzimy strusie i antylopy. Pod wieczór dojeżdżamy do Luderitz.

19.10.2011 Luderitz (2281 km)

O 8:00 rano wypływamy łodzią o nazwie Sedina na rejs. Dopływamy do wyspy, gdzie znajduje się duża kolonia pingwinów. Po drodze widzimy skaczące delfiny. Inne delfiny bawią się płynąc równolegle z łodzią. Mijamy też latarnię morską i skały na których leżą fokki. Dwie godziny później wracamy do Luderitz.

Następnie jedziemy samochodem do Kolmanskop. O 11:00 rozpoczyna się zwiedzanie miasteczka z przewodnikiem. Kolmanskop to miasteczko opuszczone ponad 50 lat temu przez mieszkańców, gdy w pobliżu Oranjemund odnaleziono diamenty. Przez dziesięciolecia piaski z pobliskiej pustyni powoli wkładały się do domów w Kolmanskop. Kilkanaście lat temu Kolmanskop stało się atrakcją turystyczną. Szczególne wrażenie robią domy zanurzone kilka metrów w piasku. Po wszystkich domach można chodzić, ale tylko jeden ma wyposażenie ze swoich czasów. Miasteczko duchów bardzo nam się podobało, bo ma swój specyficzny klimat. Miasteczko jest na granicy strefy zamkniętej z powodu bliskiej obecności kopalni diamentów. W Kolmanskop można też kupić diamenty bezpośrednio od firmy, która je wydobywa i zarządza Kolmanskop. Jest tu także wystawa poświęcona różnym osobom i sposobom kradnięcia diamentów z kopalni. Oprócz przemycania diamentów w butach czy brzuchu są także np. gołębie.

Po powrocie mamy trochę wolnego czasu, który przeznaczamy na internet. Około 15:00 udajemy się do Goerke Haus, którego właścicielem przed stu laty był zarządca kopalni diamentów. Obecnie ten imponujący dom jest muzeum zawierającym eksponaty z czasów jego świetności. Dom leży na wzniesieniu, które zapewnia mu doskonałą widoczność na całe Luderitz. Wracając z Goerke Haus wstępujemy do luteranckiego kościoła Felsenkirche oraz oglądamy kolorowe domki na Nachtigal Strasse.

20.10.2011 Luderitz -> Duwisib Castle -> Sesriem (2803 km)

Po śniadaniu jedziemy na wschód. Po drodze zatrzymujemy się przy dzikim namibijskim koniu, stojącym blisko drogi. Odwiedzamy także punkt obserwacyjny dzikich koni. Tym razem się nie zawiedliśmy, bo zobaczyliśmy konie i to w dużej ilości. Na początku nie było też żadnych innych turystów, więc w spokoju mogliśmy się im przyglądać.

Zjeżdżamy na szutrową drogę, którą podążamy w kierunku Sesriem. Przed nami kilkaset kilometrów szutrem. Po drodze wstępujemy do Duwisib Castle, stuletniego zamku wybudowanego w europejskim stylu pośrodku pustyni. Środek zamku nie jest zbyt imponujący, najlepiej podobają nam się drzewa ogniste rosnące na terenie zamku i wystające ponad mury. Z daleka zamek wygląda dzięki temu jaki wielki kwietnik.

Jadąc dalej mijamy stada antylop i oryksów. Pod wieczór dojeżdżamy do Sesriem, gdzie mamy zarezerwowany nocleg na kempingu. Na zachód słońca jedziemy na Elim Dune, gdzie udaje nam się zrobić przepiękne zdjęcia na wydmach.

21.10.2011 Sesriem -> Dead Vlei -> Sossusvlei -> Swakopmund (3283 km)

Dzisiaj zwiedzamy jedną z największych atrakcji Namibii, czyli wydmy w parku narodowym Namib-Naukluft. Największe wydmy mają tu aż 325m wysokości.

Wstajemy przed wschodem słońca, aby o wschodzie słońca być na Dune 45. Przed nami jest tam już overland truck z kilkunastoma turystami. W pierwszych promieniach słonecznych wdrapujemy się powoli na wydmy. Dziwi nas dlatego ta wydma jest tak popularna na wschód słońca, ponieważ słońce jest przysłonięte innymi wysokimi wydmami. Wydma jest ogromnie wysoka i wdrapanie się na nią wymaga nie lada wysiłku, dobrze, że jeszcze jest chłodno. Po zrobieniu pamiątkowych zdjęć schodzimy inną stroną w dół, dużo szybciej niż się wdrapywaliśmy.

Następnie dojeżdżamy do parkingu samochodów osobowych i kupujemy przejazd samochodem terenowym do Sossusvlei. Wsiadamy po drodze i idziemy w stronę Dead Vlei. Pomimo bardzo wczesnej pory widzimy setki turystów. Słońce jest jeszcze nisko, dzięki czemu udaje nam się zrobić bardzo ładne zdjęcia. Po przejściu 1,5 km dochodzimy do Dead Vlei, które jest solną pustynią z martwymi drzewami, przez co bardzo fotogeniczną. Wracamy tą samą drogą i czekamy na kolejny samochód do Sossusvlei. Po dotarciu na miejsce widzimy popękaną ziemię, która powoli przechodzi w jezioro z wydmami w tle. Jest już bardzo gorąco i nie mamy ochoty wspinać się na kolejne wydmy, co uczynili tylko nieliczni turyści.

Wracamy do parkingu samochodów osobowych, wyjeżdżamy z parku narodowego i kierujemy się na północny-zachód w stronę Walvis Bay. Znowu czeka nas około 500 km po szutrze. Po drodze jest tylko jedna stacja benzynowa w Solitaire, która okazuje się nie mieć paliwa. Do Walvis Bay dojeżdżamy tylko dlatego, że na szutrze jedziemy wolniej i samochód zużywa mniej paliwa. Za Solitaire mijamy zwirotek koziorożca, przy którym robimy sobie pamiątkowe zdjęcie, oraz przejeżdżamy przez Kuiseb Canyon. Od Walvis Bay zaczyna się droga asfaltowa, którą dojeżdżamy do Swakopmund.

22.10.2011 Swakopmund -> Moon Landscape -> Welwitschia Drive -> Spitzkoppe (3709 km)

Rano jedziemy do Walvis Bay, blisko którego ma znajdować się kolonia flamingów. Okazuje się, że to chyba nie pora na flamingi, bo żadnego nie ma. Oglądamy tylko małe stado pelikanów. Wracamy do Swakopmund, gdzie zwiedzamy miasto: latarnię, plażę, molo i zabytkowe domy. Miasto jest całkiem ciekawe i doskonale nadaje się, aby spędzić w nim kilka dni, aby odpocząć po trudach podróży. Następnie jedziemy w okolice Swakopmund oglądać Moon

Landscape oraz Welwitschia Drive. Ten pierwszy to formacje skalne przypominające krajobraz księżycowy. To drugie to droga przy której rosną ogromne, kilkumetrowe rośliny - welwitschie, które są endemiczne w tym pustynnym rejonie Namibii.

Wieczorem dojeżdżamy na malowniczo położony kemping pod Spitzkoppe, górę o wysokości 1728 m.n.p.m. Kemping jest bardzo spartański, ponieważ ma polowe ubikacje i tylko jeden prysznic.

23.10.2011 Spitzkoppe -> Cape Cross -> White Lady (4123 km)

Po przebudzeniu oglądamy przepiękne widoki na pobliskie góry wraz z Spitzkoppe. Każde miejsce kempingowe ma przydzielone polowe ubikacje i stoły, których styl przypomina dziki zachód.

Po śniadaniu ruszamy do Cape Cross, gdzie znajduje się jedna z największych kolonii fok w Afryce. Fok są tysiące i można do nich podejść bardzo blisko, niektóre prawie można dotknąć. Nazwa przylądka pochodzi od krzyża, który portugalscy żeglarze postawili tutaj ponad 500 lat temu.

Żegnając foki jedziemy oglądać malowidła Buszmenów w górach Brandenberg. Najślawniejszym malowidłem jest White Lady, przedstawiającą osobę z łukiem i strzałą, którą obecnie uważa się za mężczyznę, a dokładniej za chłopca z plemienia San, który jest pomalowany na białą, co było częścią ceremonii inicjacji.

24.10.2011 White Lady -> Petrified Forest -> Twyfelfontein -> Palmwag (4479 km)

Dzisiaj wyruszamy na północ do Twyfelfontein. Po drodze zwiedziliśmy także Petrified Forest, w który można zobaczyć skamieniałe drzewa, których wiek szacuje się na 260 milionów lat. Drzewa mają do 34 m wysokości i do 6 m średnicy. Na niektórych skamielinach widać nawet kręgi, charakterystyczne dla przekroju drzew.

W Twyfelfontein znajdują się kolejne rysunki skalne Buszmenów. Tym razem są to rzeźbienia, zrobione bez użycia żadnych farb czy pigmentów jak to było w White Lady. Malowidła przedstawiają głównie zwierzęta oraz prymitywną mapę źródeł wodnych znajdujących się kiedyś w tej okolicy. W pobliżu Twyfelfontein znajdują się Organ Pipes, czyli skały przypominające organy.

Wykonaliśmy plan zwiedzania na dzisiaj a jest jeszcze wcześnie, więc chcemy pojechać jeszcze trochę na północ w kierunku Opuwo. Wybieramy najkrótszą drogę o numerze C43. Jest to nasz błąd, ponieważ droga prowadzi przez góry, rzeki i przez większość czasu trzeba jechać 30 km/h. Jest to najgorsza droga jaką jechaliśmy w Namibii. Dojeżdżamy nią do Palmwag, gdzie zostajemy na kempingu. Za radą miejscowych zmieniamy nasze plany i postanawiamy jutro pojechać do Opuwo dłuższą drogą przez Kamanjab, omijając góry.

25.10.2011 Palmwag -> Opuwo (4903 km)

Ruszamy w kierunku Kamanjab, gdzie jesteśmy po dwóch godzinach. Tam zaczyna się droga asfaltowa, którą dość szybko dojeżdżamy do Opuwo. Znajdujemy kemping, który ku naszemu zdziwieniu jest zupełnie pusty. Jest dopiero 14:00, więc umawiamy się z właścicielem kempingu, że po obiedzie zabierze nas do wioski plemienia Himba. Po 15:00 jedziemy na zakupy do supermarketu, gdzie kupujemy mąkę kukurydzianą, olej i cukier, które są podstawowym pożywieniem Himba i będą naszym prezentem dla wioski. Po naszym przyjeździe kobiety są zwoływane w główne miejsce wioski i siadają na ziemi tworząc koło. Kobiety z plemienia Himba słyną ze smarowania swojego ciała mieszaniną orchy, masła i ziół, która nadaje ich skórze kolor spalonej pomarańczy i jednocześnie spełnia funkcję kremu do opalania oraz zabezpiecza przed insektami.

W wiosce mamy możliwość zadawania dowolnych pytań przy pomocy przewodnika, który jest także tłumaczem. Czas mija bardzo szybko, nikt się tutaj nie spieszy. Mamy tyle czasu ile chcemy, dzięki czemu czujemy się tu dobrze przyjęci. Po pewnym czasie kobiety się rozluźniają, rozmawiają ze sobą, nie zwracając uwagi na nas.

Pod koniec naszego pobytu żona szefa wioski pyta nas, czy chcemy, aby Himba dla nas zatańczyły i po targach uzgadniamy cenę. W umowie jest także przymusowe oglądanie różnych naszyjników i bransoletek wykonanych przez Himba. Każda z kobiet wyciąga tobolek i rozkłada przed sobą, przez co nagle jesteśmy w środku wielkiego kiermaszu. Po drobnych zakupach i okazaniu niechęci dalszego oglądania przechodzimy do pokazu tańca. Taniec nie jest porywający, ale na pewno jest inny niż wszystko co do tej pory widzieliśmy. Bardzo miło spędziliśmy czas u Himba. Po powrocie do samochodu okazało się, że byliśmy u nich aż dwie godziny.

Do zachodu słońca jest jeszcze godzina, dlatego jedziemy do pobliskiej wioski plemienia Zena, które przybyło tutaj z Angoli. Domki oraz styl życia jest podobny do Himba, ale ludzie są zupełnie inni. Kobiety mają splecione i przystrojone włosy, noszą kilka kolorowych naszyjników oraz kolorowe spódnice. Podczas naszej wizyty w wiosce było mało osób, ale może to nasza wina, bo przyjechaliliśmy bez zapowiedzi. Zbliżał się także zachód słońca, więc czas zaganiania bydła do zagród, co także mogło być przyczyną. Pomimo tego udało nam się zrobić bardzo ładne zdjęcia w czerwonym słońcu i miło spędziliśmy czas.

26.10.2011 Opuwo -> Otjitotongwe (5263 km)

Po pozytywnych doznaniach z dnia wczorajszego postanawiamy odwiedzić kolejne plemię mieszkające w okolicy, czyli Herero. Kobiety z tego plemienia noszą wiktoriańskie suknie oraz nakrycia głowy w kształcie rogów. Bardzo śmiesznie dla nas wyglądają murzynki przystrojone w suknie, w których chodziło się w Europie sto lat temu. Oprócz ubioru duże wrażenie zrobiły na nas metody przechowywania żywności, a szczególnie mięsa. Ponieważ nie ma tu prądu, nie ma też lodówek, więc aby mięso było jadalne przez dłuższy czas jest suszone. To akurat robi się także w Europie np. z szynką szwarcwaldzką. Jednak zdziwiło nas miejsce suszenia, którym były pobliskie drzewa i krzaki. W skrócie, każde drzewo w tej wiosce wyglądało jakby rosło na nim mięso. Oczywiście pod koniec naszej wizyty przynieśliśmy prezenty zakupione wcześniej w supermarkecie. Jeszcze przed naszym odejściem kobiety zaczęły dzielić przyniesione przez nas produkty. Cieszyły się dużo więcej niż Himba, bo pewnie turyści zaglądają tu bardzo rzadko.

Opuwo żegnamy zatrzymując się przy ogromnym, trzymetrowym kopcu, który utworzyły termity i których są tu setki. Po dwóch godzinach dojeżdżamy do Otjitotongwe, gdzie zatrzymujemy się na kempingu przy farmie z gepardami. W cenie noclegu jest głaskanie oswojonych gepardów oraz oglądanie karmienia dzikich gepardów. Około 15:00 rozpoczyna się przygoda. Na początku jedziemy z innymi turystami do oswojonych gepardów, gdzie gepardy chodzą między ludźmi bez żadnego zabezpieczenia. W Tajlandii głaskaliśmy tygrysy, ale podchodziliśmy do nich po kolei, w ciszy, od tyłu, asekurowani przez kilku strażników. Tu jest tylko jedna osoba, ale gepardy urodziły się w niewoli i od początku mieszkają z ludźmi jak koty.

Po głaskaniu gepardów jedziemy do innej części, gdzie dookoła naszych dwóch samochodów schodzą się dzikie gepardy. Są karmione codziennie o tej samej godzinie, więc niektóre czekają na nas już przy bramie. Karmienie polega na wyrzuceniu sztuki mięsa w górę. Sztuka mięsa jest łapana przez najsprytniejszego geparda, który ją zabiera w spokojne miejsce i konsumuje. Inne gepardy mają szansę na kolejną sztukę mięsa. Ponieważ ilość gepardów jest znana, każdy gepard dostanie swoją część.

27.10.2011 Otjitotongwe -> Etosha (Okaukuejo) (5567 km)

Zrobiliśmy wcześniej rezerwację na dwie noce w Etoszy od 28 do 29 października. Na razie nasza podróż przebiegała zgodnie z planem i nawet mamy jeden dzień zapasu, który postanawiamy wykorzystać jako dodatkowy dzień w Etoszy. Boimy się tylko, że nie będzie wolnych miejsc na kempingu. Najpierw jedziemy do Outjo zrobić większe zakupy przed Etoszą a później jedziemy do Etoszy. Jest to największy park narodowy w Namibii. Około południa dojeżdżamy do kempingu Okaukuejo na terenie parku, gdzie o tej porze są jeszcze wolne miejsca. Dobrze, że jesteśmy w niskim sezonie, bo inaczej trzeba rezerwować miejsca z miesięcznym wyprzedzeniem.

W Namibii jest teraz koniec pory suchej, dobry czas na oglądanie zwierząt, które gromadzą się przy różnego rodzaju wodopojach. Właśnie przy Okaukuejo jest oczko, przy którym oglądamy dziesiątki różnych zwierząt: słonie,

zebry, springboki, kudu, oryksy. Nad oczkiem spędzamy ponad godzinę podglądając życie zwierząt. Jest tak ładnie, że niektórzy spędzają na tutejszych ławeczkach cały dzień. Później pływamy w basenie i robimy sobie obiad.

Po 15:00 wyruszamy do parku na polowanie na zwierzęta z aparatem i kamerą. Widzimy springboki, szakale, zebry oraz różnego rodzaju ptaki. Przy miejscu o nazwie Okondeka widzimy na górcie lwy przyglądające się znajdującym się w oddali antylopom i zebrom. Jest to jeden lew i kilka lwic. O tej godzinie jest jeszcze za ciepło ale za godzinę, czy dwie lwy ruszą na polowanie. Postanawiamy pojechać dalej i wrócić tu później. Gdy wracamy po półtorej godziny lwów w tym samym miejscu już nie ma. Widzimy za to lwa czającego się w krzakach i lwicę chodzącą w oddali, gdzie wcześniej były antylopy. Nie mamy za dużo czasu na obserwację, bo o 19:00 brama kempingu jest zamykana a mamy jeszcze spory kawałek do przejechania. Przed samym kempingiem spotykamy gnu, zebry i żyrafy zmierzające powoli w stronę wodopoju. Ma także udajemy się nad oczko wodne w Okaukuejo, gdzie oglądamy zachód słońca. Większość ludzi zostaje tu nawet po zachodzie słońca, ponieważ oczko jest podświetlane i można oglądać zwierzęta przychodzące tu nocą. My obserwujemy żyrafy i nosorożca, który bardzo asekuracyjnie podchodzi do oczka.

28.10.2011 Etosha (Okaukuejo) -> Etosha (Halali) (5922 km)

Wstajemy wcześnie rano, aby wyjechać od razu po otwarciu bramy kempingu o świcie (tego dnia o 6:20). Na początku jedziemy do Grunewald. Jesteśmy trochę zawiedzeni, bo jest to niby najlepszy czas na oglądanie zwierząt a my widzimy tylko antylopy. W samym Grunewald spotykamy jeszcze żyrafę. Postanawiamy pojechać do Okondeka, gdzie wczoraj były lwy. Po drodze widzimy oryksy i parę strusi z tuzinem małych. Bardzo ładna rodzina. Po dojechaniu do Okondeka widzimy dwie lwice, które czają się w krzakach, bardzo blisko miejsca, w którym jest woda i stado gnu oraz zebra pije wodę. Czekamy chwilę i nic się nie dzieje. Jedna z lwic przechodząc między samochodami wraca na górkę, gdzie wczoraj widzieliśmy całe stado i znika z widzenia pod dużym krzakiem. Wracamy do Okaukuejo, które znowu nas nie zawodzi dziesiątkami zebra, gnu, springboków, oryksów. Jest super i spędzamy tu około godziny.

Następnie zwijamy namiot i powoli jedziemy na wschód w stronę naszego kolejnego kempingu. Teoretycznie jest już zbyt ciepło na oglądanie zwierząt, ale po drodze odwiedzamy wszystkie oczka wodne. Nad jednym oglądamy oryksy, springboki oraz zebry. Te ostatnie stoją tak blisko, że możemy je prawie dotknąć. Kolejne oczko jest płytkie i znacznie oddalone. Widzimy przy nim springboki, gnu, kilka szakali, strusia i samotnego oryksa, do którego wkrótce dołącza drugi. Następne oczko to słoń obrzucający się błotem dla ochłody oraz inne słonie pijące wodę. Na jednej z bocznych dróg spotykamy dwie lwice. Jedna siedzi na szutrowej drodze a druga obok w trawie. Inni turyści przejeżdżając powoli samochodem płoszą tą siedzącą na drodze. Jadąc za nimi dojeżdżamy na dwa metry od drugiej. Robimy jej zdjęcia, ale ona także wstaje i odchodzi. Później jedziemy na wielką równinę (Etosha Pan), gdzie w porze deszczowej powinno być dużo zwierząt, ale obecnie nie widzimy żadnego. Powierzchnia równiny to spękana ziemia, czasami biała z powodu wysokiego zasolenia. Trochę przypomina nam Salar de Uyuni w Boliwi.

Jedziemy do kempingu Halali, gdzie wieczorem zasiadamy na ławkach na skałach przy oczku wodnym. Na początku jest pusto, ale chwilę przed zachodem słońca akcja się rozkręca. Do wodopoju przychodzi nosorożec, za którym dosłownie wbiega stado słoń, co odsuwa nosorożca od wodopoju. Słonie zajmują pół oczka a nosorożec tylko przygląda się jak one piją. Po pewnym czasie przychodzi drugi nosorożec, który jest sprytniejszy, bo znajduje sobie miejsce i pije wodę obok słoń. Po chwili pojawia się drugie stado słoń, które delikatnie przegania pierwsze stado. A nasz nosorożec, który był tu pierwszy, cierpliwie czeka w krzakach na swoją kolej. Jeszcze sobie chwile poczeka, bo do wodopoju przychodzi stado lwic. Lwice po zaspokojeniu pragnienia rozkładają się w pobliżu, ale nie podoba się to słoniom, które je przeganiają. Nasz ulubieniec ma wreszcie możliwość się napić. Mieliśmy duże szczęście, bo widzieliśmy w jednym miejscu trzy zwierzęta wchodzące w skład wielkiej piątki. Brakowało tylko bawoła i lamparta.

29.10.2011 Etosha (Halali) -> Etosha (Namutoni) (6199 km)

Rano jedziemy na Etosha Pan sprawdzić, czy rano nie ma tam zwierząt, ale znowu nic. Ponieważ w tej części parku nie ma zwierząt postanawiamy wrócić w stronę Halali i pojechać dalej na wschód. Pora jest dobra, ale zwierząt jak na lekarstwo. Nagle widzimy zwierzątko przechodzące przez drogę, które chowa się na nasz widok. Podjeżdżając bliżej widzimy, że to hiena, która próbuje się schować przed nami, ale nie ma za bardzo gdzie. Kawałek dalej coś dużego przechodzi w oddali przez drogę. Z bliska widzimy, że to nosorożec. Podobno bardzo ciężko zobaczyć tu nosorożca w dzień a my widzimy go w odległości kilku metrów jak pożera pobliskie krzaki. Jadąc dalej kolejna ciekawostka – mały lisek (bat-eared fox) kopiący dziurę w ziemi. Dalej pojawia się stado kudu. A przy oczku wodnym spotykamy żyrafę, która śmiesznie rozkłada nogi, aby napić się wody. Jadąc dalej widzimy słonia i kolejne żyrafy obgryzające niskie drzewka. Zbliżamy się powoli do kolejnego kempingu - Namutoni i wreszcie pojawia się więcej zwierząt, są stada kudu, impali, springboków, gnu.

W środkowej części Etoszy prawie nie było zwierząt. Możliwe, że powodem tego był wielki pożar kilka tygodni temu, którego skutki widzieliśmy nawet dzisiaj. Przed przyjazdem na kemping jedziemy jeszcze do sąsiednich oczek, z których najciekawszym dzisiaj jest Klein Okevi, przy którym stoi siedem żyraf. Oglądamy jak żyrafy śmiesznie piją wodę i obcierają się o siebie szycami. Około 14:00 meldujemy się w Namutoni, testujemy tutejszy basen a godzinę później wyruszamy na popołudniowe łowy. Spotykamy żyrafy, zebry, gnu, guźce, hienę zanurzoną w wodzie oraz małe antylopki - steenboki. Zachód słońca oglądamy przy oczku wodnym w Namutoni, ale tym razem nic się nie pojawia.

30.10.2011 Etosha (Namutoni) -> Tsumkwe (6758 km)

Rozpoczynamy nasze ostatnie godziny w Etoszy. Na początku kierujemy się do Klein Namutoni. Z daleka widzimy już kilka samochodów, więc od razu wiemy, że są tu jakieś ciekawe zwierzęta. Nie mylimy się, widzimy jak do wodopoju podchodzi lew. Za nim przychodzą dwie lwice z piątką małych lwiątek. Po zaspokojeniu pragnienia lwy kładą się kilkadziesiąt metrów od wodopoju, przy głównej drodze. Wszystkie samochody przenoszą się w to miejsce. Powoli robi się coraz cieplej i lwy zapewniają sobie osłonę przed słońcem kładąc się pod krzakami. Na podglądaniu lwów mija nam prawie dwie godziny. W końcu postanawiamy pojechać dalej, ale jeszcze tu wrócimy później i wtedy lwy będą już leżeć bez żadnego ruchu. Przy kolejnym oczku oglądamy żyrafy. Przy samym kempingu spotykamy nosorożca, który przechodząc nam drogę wraca z wodopoju przy Namutoni. Wszyscy go szukali po parku a on przyszedł na oczko przy kempingu. Jadąc dalej spotykamy gnu i springboki. Przy kolejnym oczku spotykamy guźce, żyrafy, impale, zebry, kudu i gnu.

Około 11:00 wyjeżdżamy z Etoszy. Jedziemy w kierunku Grootfontein, blisko którego znajduje się największy meteoryt na świecie. Meteoryt jest duży, ale nie robi na nas wrażenia, bo wygląda jak wielki kamień. Nasza dalsza trasa wiedzie do Tsumkwe, czyli stolicy plemienia San, zwanych także Buszmenami. Droga jest trudna, bo mamy do przejechania ponad 200 km po szutrze. Pod wieczór jesteśmy Tsumkwe i jedziemy na kemping kilka kilometrów za miastem. Kemping leży przy bocznej drodze, która okazuje się nieprzejezdna dla naszego samochodu. Kilkaset metrów po skręcie zakopujemy się w piachu, który jest tak wysoki, że nasze podwozie po nim rysuje. Odkopanie zabiera nam sporo czasu. W tym czasie robi się ciemno. W końcu udaje nam się wyjechać i jedziemy do innego kempingu, w samym Tsumkwe.

31.10.2011 Tsumkwe -> Bwabwata NP (Ngepi) (7427 km)

Do Tsumkwe przyjechaliśmy, aby obejrzeć wioski plemienia San, które jest uznawane przez naukowców jako przodków wszystkich ras ludzi. Problem w tym, że wszystkie wioski znajdują się przy bocznych drogach dostępnych tylko samochodem z napędem 4x4. Na początku pytamy się ile kosztuje wycieczka z naszego kempingu, ale cena 100\$ od osoby jest dla nas nieakceptowalna. Nie ma też innych turystów, którzy tam jadą i z którymi moglibyśmy się zabrać. Zgłaszamy się do biura prowadzącego przez lokalną społeczność, ale okazuje się, że jedyne co nam mogą zaoferować to opłata 30 pula od osoby za wskazówki jak dojechać do wioski. Akurat to mamy w swoim przewodniku. Pytamy w różnych miejscach o możliwość wynajęcia samego samochodu lub samochodu z kierowcą, bo najbliższa wioska leży tylko 12 km od głównej drogi, jednak nie udaje nam się nic znaleźć. W biurze czytamy także

kartkę, że wstęp do wioski kosztuje równowartość 70\$. Nie wiemy czy od osoby, czy od grupy, bo szefowa biura prowadzącego przez lokalną społeczność miała się pojawić o 9:00 a dwie godziny później wciąż jej nie ma.

Postanawiamy wyjechać z Tsumkwe i kontynuować naszą podróż w kierunku Botswany. Gdybyśmy znali tutejsze ceny to byśmy tutaj nie przyjechali, ale przewodnik Lonely Planet Botswana & Namibia dostarczył nam bardzo skąpych i niewystarczających informacji. Przejeżdżamy 550 km i wieczorem dojeżdżamy do Bwabwata NP, na granicy z Botswaną. Zatrzymujemy się na kempingu Ngepi nad rzeką Okavango, słynnego z odgłosów wydawanych przez żyjące w sąsiedztwie hipopotamy. Dojazd do kempingu wiedzie po piasku i prawie cudem nie zakopujemy się po drodze.

01.11.2011 Bwabwata NP (Ngepi) -> Mahango Game Reserve -> Maun (7927 km)

Kemping Ngepi ma bardzo ciekawy klimat z powodu zarówno hipopotamów jak i śmiesznych napisów. Po śniadaniu jedziemy do pobliskich Popa Falls, które nie powinny być oznaczone jako atrakcja turystyczna. Przy samej granicy leży Mahango Game Reserve. Oglądamy tu bardzo ładne krajobrazy, ale ze zwierząt widzimy tylko impale, zebry oraz guźce. Zatrzymujemy się także przy wielkim baobabie, gdzie do zrobienia zdjęcia możemy wyjść z samochodu.

Po opuszczeniu parku przekraczamy granicę. Wypełniamy formularze i płacimy różne opłaty wjazdowe. Na szczęście do Botswany nie jest potrzebna wiza. Z granicy jedziemy do Shakawe, w którym chcemy wypłacić lokalne pieniądze i wymienić pozostałe dolary namibijskie. Bardzo powoli, lecz udaje nam się wymienić pieniądze w banku. Okazuje się, że bankomat Barclays nie akceptuje żadnej z naszych kart debetowych, więc znowu idziemy do banku wymienić awaryjnie dolary. Następnie jedziemy do Sepupa skąd chcemy kupić rejs mokoro, czyli małą łódkę podobną do czułna. W Sepupa Swamp Stop okazuje się, że ceny są kilka razy wyższe od podawanych w przewodniku dlatego decydujemy się jechać do Maun i tam zrobić rejs mokoro. Przy wyjeździe z Sepupa Swamp Stop jedziemy złym torem i zakopujemy się w piachu. Jest nawet gorzej niż w Tsumkwe i gdyby nie pomoc kilku rosnących mężczyzn, którzy podnieśli samochód nie udałooby się nam wyjechać.

Wieczorem dojeżdżamy do Maun. Tak dużego miasta nie widzieliśmy od Swakopmund. Mamy tu do wyboru aż cztery różne supermarkety. Nie chcemy tracić niepotrzebnie dni, więc jeszcze tego samego dnia jeździmy po różnych biurach szukając informacji o rejsach mokoro oraz wycieczkach do Moremi Game Reserve. Ceny do Moremi są okropnie wysokie i jedyną poważną ofertą pozostaje wynajęcie samochodu z kierowcą dla czterech lub więcej osób za około 450\$ na dzień. Problem w tym, że jesteśmy we dwójkę a turystów nie ma tu obecnie zbyt dużo. Za radą właścicieli zostawiamy na kempingu kartkę, że szukamy osób chętnych pojechać z nami na jeden lub dwa dni do Moremi. Sami kupujemy na następny dzień całodniowy rejs mokoro połączony z walking safari, który był znacznie tańszy niż w Sepupa.

02.11.2011 Maun -> Delta Okavango -> Maun (7967 km)

Rano o 8:00 wypływamy na całodzienną wycieczkę mokoro. Początkowo do stacji mokoro płyniemy łodzią motorową. Po drodze widzimy dużo ptaków i przepływających lub czekających na wodnego stopa miejscowych ludzi. Niektóre drzewa stoją całe w wodzie. Nasz flisak przedstawił się jako „Doctor” i miał 60 lat, widać jednak, że nie brakuje mu sił, żeby odpychać nas spokojnie od dna. Przepływamy wąskimi kanałami wśród zarośli, dookoła pełno jest lilii wodnych, jednakże nie widzimy po drodze ani krokodyli ani hipopotamów. Podobno woda jest zbyt niska. Po około godzinie dopływamy do wyspy, gdzie idziemy na „walking safari”. Po drodze mijamy wiele czaszek różnych zwierząt a z żywych udaje nam się zobaczyć red lechwes (antylopy), pawiany, guźce. Przewodnik bardzo się stara, każe nam się nawet kilkukrotnie przeprowiać przez wodę, ale jest środek dnia i zwierzęta się schowały. Po obiedzie wypływamy w drogę powrotną. Sam rejs mokoro jest bardzo spokojny, wyciszający, mi udało się w drodze powrotnej prawie zasnąć. Po drodze można zatrzymać się na orzeźwiającej kąpiel, ale my nie mieliśmy ze sobą strojów kąpielowych więc zrezygnowaliśmy.

Po powrocie z wycieczki pojechaliśmy do Old Bridge Backpackers zobaczyć, czy nie znalazł się ktoś chętny do pojechania z nami na wycieczkę, ale nikogo takiego nie było. Spróbowaliśmy jeszcze wypożyczyć samochód 4x4 z

wypożyczalni znajdujących się koło lotniska, żeby samodzielnie pojechać do Moremi GR, ale albo nie mieli samochodów na następny dzień albo dawali kiepskie ubezpieczenie. Zrezygnowani wróciliśmy do Crocodile Camp i poszliśmy się ochłodzić w basenie. Wieczorem, kiedy już byliśmy wykąpani i gotowi do snu podjechała do nas para Holendrów Caroline i Robert, którzy przeczytali nasze ogłoszenie w Old Bridge Backpackers i spytali czy nadal chcemy jechać do Moremi. Zdecydowaliśmy się od razu na dwudniową wycieczkę, szybko dogadaliśmy się z biurem z Old Bridge Backpackers i poszliśmy spać.

03.11.2011 Maun -> Moremi GR (8117 km)

O 8:30 wyjeżdżamy na Ferrari Safari do Moremi GR - jak to nazwał nasz przewodnik - z powodu prędkości, jakie osiągał na szutrowych drogach (do 80 km/h). Trzeba przy tym dodać, że był to otwarty samochód przystosowany do safari więc fryzury mieliśmy świetne po takiej podróży. Po drodze zrobiliśmy jeszcze szybkie zakupy i o 12 wjechaliśmy do parku. Przy wjeździe do parku była tablica z wypisanymi ostatnimi najlepszymi miejscami, gdzie można oglądać zwierzęta. Dużo osób wypisywało lwy i lamparta w okolicach trzeciego mostu (Third Bridge) i laguny Xini (Xini Lagoon). Nikt z naszej czwórki jeszcze nie widział lamparta, więc bardzo chcieliśmy go zobaczyć. Mimo niesprzyjającej pory po drodze zobaczyliśmy siedzące żyrafy, wielkie (ponad 100 sztuk) stado słońi, dużo przeróżnych ptaków i antylop, w tym tsesseebe, impale, kudu, a także duże stado bawołów oraz hipopotamy. Te ostatnie bardzo chcieliśmy zobaczyć z bliska, co nie było nam dane w Etoszy i na rejsie mokoro. Nasze życzenie zostało dość szybko zrealizowane, gdy w oczku wodnym zobaczyliśmy około dwudziestu kąpiących się hipopotamów i przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się tym olbrzymom. Widzieliśmy także jednego hipopotama spacerującego po pobliskich zaroślach. Gdy podjechaliśmy do niego bliżej hipopotam zaczął na nas biec, ponieważ odcięliśmy mu dostęp do wody, w której jest bezpieczny. Gdy odjechaliśmy zatrzymał się a później wbiegł pędem do wody i przyglądał się nam już z bezpiecznej odległości.

Niestety trochę później (około 16:00) zepsuł się nam samochód (nie można było go odpalić) i niestety nie pomogły próby odpalenia go na popych. Nawet kierowca innego samochodu próbował nam pomóc, biorąc nas na hol, ale nic to nie dało. Nasz przewodnik, Keone, miał telefon satelitarny i rozmawiał z mechanikiem w Maun. Tak się dowiedział, że jakaś część się rusza i dlatego silnik nie może się odpalić. Wtedy Przemek zaproponował, że może pożyczyć Kropelkę do przyklejenia tej części. Ku naszemu zdziwieniu po chwili od zastosowania kleju, samochód odpalił bez problemu. Był już zmierzch więc szybko musieliśmy dotrzeć do naszego miejsca kempingowego, które było bardzo daleko (około 20-30 km). Jechaliśmy szybko i możemy powiedzieć, że mieliśmy kolejny raz Ferrari Safari tyle że nocą. Po drodze widzieliśmy słońie, żyrafy i antylopy, które płoszyły się na widok światła bijącego od naszego samochodu. Przejazd przez trzeci most (a w zasadzie złączone drewniane belki leżące w wodzie mające zapobiec naszemu utonięciu) nocą był kolejnym doświadczeniem dla ludzi o mocnych nerwach. Kiedy już dotarliśmy na miejsce i rozbiliśmy namioty Keone rozpałił ognisko, nauczył nas jak mamy się zachowywać kiedy jakieś zwierzę zbliży się do naszego miejsca kempingowego, opowiedział historię o tym, jak kilka lat temu nocą hieny zjadły chłopca w tym parku i poszedł pieszo do strażnika parku zarejestrować nas i usprawiedliwić nasz późny przyjazd (jazda po zmroku jest zabroniona w parku). Trzeba dodać, że pole namiotowe było bardzo prymitywne a w zasadzie było to po prostu wyznaczone miejsce pod drzewem, gdzie można było się rozbić. Nie było tam ani dostępu do wody, ani prądu, tym bardziej więc nie było tam żadnych pryszniców ani wc. Ledwo zjedliśmy kolację wspominając nasze przygody oraz podsumowując nasze SuperGlue Ferrari Safari kiedy nagle usłyszeliśmy jakieś ryki. Według instrukcji Keone były to odgłosy lwów. Zamarliśmy ze strachu. W zupełnej ciszy i bezruchu nasłuchiwaliliśmy dalej. Niestety te same odgłosy się powtarzały. Początkowo nie wiedzieliśmy czy iść do namiotu, który wydawał się najlepszym schronieniem, czy też pozostać w bezruchu i w razie bezpośredniego spotkania z lwem patrzeć mu w oczy, co podobno chroni przed atakiem. Po kilku minutach strachu posprzątaaliśmy jednak nasze krzeselka i poszliśmy ostrożnie do namiotów. Jeszcze długo tej nocy nie mogłam zasnąć, bojąc się, że ktoś może nas jednak zaatakować.

04.11.2011 Moremi GR -> Maun (8296 km)

O świcie wyruszyliśmy oglądać zwierzęta. Udało nam się wytropić lwy (wydawały takie same odgłosy jak poprzedniej nocy), ale niestety naszym samochodem nie mogliśmy do nich podjechać, bo trzeba było przejechać przez wodę (do

tego podobno są lepsze samochody z silnikiem diesla). Widzieliśmy także żyrafy, antylopy, w tym pierwszy raz waterbucki, zebry, hipopotamy, bawoły, guźce, słonie, sępy i strusie. Około południa zrobiliśmy sobie przerwę na obiad a następnie pojechaliśmy szukać kolejnych zwierząt. Oczywiście zależało nam najbardziej na dużych kotach, z których słynie ten park. Po drodze przebiliśmy oponę, ale jej zmiana poszła sprawnie. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że ludzie z innych samochodów widzieli tego samego dnia lwy.

Około 15:00 byliśmy już prawie zrezygnowani i jechaliśmy już w stronę wyjazdu z parku. Wtedy Keone zatrzymał się, długo patrzył się w jedną stronę a następnie powiedział, że pod krzakami, na wprost nas, siedzi lampart. Niestety nikt z nas nic nie widział, myśleliśmy nawet, że przewodnik, wiedząc jak nam zależy na zobaczeniu lamparta się z nas nabija. Wzięliśmy jednak lornetki i wtedy zobaczyliśmy, że naprawdę pod krzakiem kilkadziesiąt metrów od nas siedzi lampart. Przewodnik powiedział nam, żebyśmy zrobili zdjęcia lamparta z daleka, bo może uciec. Potem Keone podjechał bliżej, ale lampart był częściowo zasłonięty krzakami. Potem jeszcze okrążyliśmy krzak i podjechaliśmy na odległość dwa metry od lamparta. Jest to naprawdę piękne zwierzę a oglądanie go z tak bliskiej odległości dało nam niesamowitą satysfakcję. Niestety nie mogliśmy zbyt długo tam zostać, bo teoretycznie nie wolno zjeżdżać z wytyczonych w parku dróg. Samochód do końca wyprawy spisywał się znakomicie.

05.11.2011 Maun -> Kasane (8916 km)

Zanim wyjechaliśmy z Maun chcieliśmy jeszcze polecieć samolotem na wycieczkę nad deltą Okavango, co nam polecili Holendrzy. Niestety żaden przewoźnik nie miał na ten dzień zapisanych na wycieczkę innych turystów, co oznaczało, że albo wynajmiemy samolot tylko dla nas albo nie polecimy. Po rozejrzeniu się po ofertach zdecydowaliśmy się polecieć z MackAir. W sumie nie wyszło nas to o wiele drożej, niż gdybyśmy polecili większą grupą a na pewno było warto. Po godzinie od wykupienia przelotu spotkaliśmy się z pilotem, przeszliśmy przez odprawę i wsiedliśmy do 3-osobowej Cessny. Pilot był ubrany w krótkie spodenki i ogólnie był dość młody, ale zapewnił nas, że lata tą trasą codziennie i w większości tym samolotem. Kiedy wzbiliśmy się już w powietrze pilot pokazywał nam różne zwierzęta, które żyją w delcie: słonie, żyrafy, bawoły, hipopotamy i zebry. Mniejszych zwierząt niestety nie widać z powodu wysokości, ale i tak bardzo nam się podobało podglądanie zwierząt z góry. Sama delta była dość sucha, ale byliśmy tam pod koniec pory suchej więc może kiedy indziej widać więcej wody. Podróż tak małym samolotem, który dodatkowo pochyla się, żeby lepiej zobaczyć zwierzęta zakończyła się wymiotowaniem u mnie i mdłościami u Przemka, ale czego się nie robi dla takich widoków. Niepotrzebnie jedliśmy rano śniadanie. Następnego dnia zobaczyliśmy gazetę, na pierwszej stronie której była informacja o katastrofie samolotu z turystami nad deltą Okavango. Samolot rozbił się w piątek, my lecieliśmy następnego dnia.

Po chwili odpoczynku udaliśmy się do Kasane. Po drodze przejeżdżaliśmy przez parki narodowe a przy drogach stały zwierzęta a w szczególności widzieliśmy bardzo dużo strusiów. Droga od połowy się pogorszyła i musieliśmy jechać ostrożnie i z mniejszą prędkością, jednakże tuż obok wylewali już świeży asfalt na nową drogę do Kasane. Na miejscu wykupiliśmy wycieczki do Parku Narodowego Chobe (na rano safari samochodem, na popołudnie safari łódką) i poszliśmy spać.

06.11.2011 Kasane -> Chobe NP -> Kasane (8936 km)

Ponieważ w naszym Thebe River Camping nie było już miejsc na poranne safari więc udaliśmy się na wycieczkę z turystami mieszkającymi w Mowana Safari Lodge. Średnia wieku w tym ekskluzywnym hotelu była odpowiednia, ciekawe, czy nam się w tym wieku będzie chciało jeździć na safari. Po przyjeździe zostaliśmy zaproszeni na poranną kawkę oraz herbatkę i po chwili wyjechaliśmy na safari. Nim dojechaliśmy do bram parku widzieliśmy już bawoły i guźce. Później udało nam się zobaczyć różne antylopy i ptaki, krokodyle, małpy oraz bardzo ciekawe dzikie psy, które rozszarpały swoją nocną zdobycz oraz lwy, które pożerały guźca. W połowie safari była krótka przerwa na picie (wliczone w cenę safari). Przy wyjeździe zobaczyliśmy jeszcze żyrafy, kudu, bawoły i stado słoni, z których ten park słynie, które zmierzało spokojnie do rzeki. Podsumowując musimy stwierdzić, że safari odbyło się świetnym samochodem ale z kiepskim przewodnikiem. Spieszył się z powrotem i obwoził turystów bez pasji, którą miał Keone w Moremi.

Kolejne godziny spędziliśmy na basenie znajdującym się na terenie naszego kempingu. Następnie o 15 wyjechaliśmy na rejs. Pech chciał, że tego dnia na naszym kempingu były aż trzy overland trucki i dla wszystkich wynajęto duży prom. Zdecydowanie polecamy popłynąć małą łódką, która ma lepsze pole manewru i może bliżej oraz szybciej podpłynąć do zwierząt. Podczas rejsu widzieliśmy słonie, antylopy, bawoły, żyrafy, guźce, czyli zwierzęta, które przychodzą do wodopoju oraz małpy, krokodyle i hipopotamy, które nam się najbardziej podobały. Część zwierząt przepływa rzekę i pasie się na wyspach na środku rzeki Chobe. Ładnie wyglądała rodzina słoni, która przekraczała rzekę z wyspy na ląd. Nawet małeństwo doskonale sobie poradziło. Po zachodzie słońca wróciliśmy na kemping.

07.11.2011 Kasane -> Khama Rhino Sanctuary (9680 km)

Przed 7 wyjechaliśmy z Kasane w stronę Khama. Po drodze spotkaliśmy jeszcze duże stado słoni, które szukały pożywienia przy drodze oraz przejechaliśmy przez Francistown, drugie największe miasto Botswany. Jakoś tak dziwnie było wjechać do tak dużego miasta (około 150 tysięcy osób), pierwszy raz od miesiąca, gdy byliśmy w Kapsztadzie. Poza tym po drodze przez kilkaset kilometrów nie ma nawet większych wiosek, więc kontrast był większy.

Do Khama dojechaliśmy około 16. Zakwaterowaliśmy się na kempingu (ledwo można było tam dojechać samochodem osobowym, choć w LP pisali, że można spokojnie przejechać po całym parku zwykłym samochodem) i pojechaliśmy na safari organizowane przez park (co okazało się dobrym pomysłem, bo na pewno szybko byśmy się zakopali). Byliśmy ciekawi, czy w parku zobaczymy nosorożce, które są flagowym zwierzęciem tego miejsca (to tu przywieziono ostatnie cztery nosorożce jakie żyły na wolności w Botswanie, aby się rozmnażały i żeby można było przywrócić te zwierzęta w tym kraju). Park jednak jest niewielki i spotkanie tych olbrzymów nie jest takie trudne. W sumie widzieliśmy pięć białych nosorożców, w tym małego, miesięcznego z matką i ojcem. Poza tym w parku można oglądać również inne zwierzęta. Wieczorem dogadaliśmy się jeszcze z innymi turystami, że nas zabiorą swoim samochodem na poranne safari. Podobnie jak w Moremi kemping nie był odgradzony żadnym płotem od zwierząt.

08.11.2011 Khama Rhino Sanctuary -> Phalaborwa (10296 km)

Poranne safari odbyliśmy dzięki uprzejmości białego małżeństwa z Zimbabwe, które aktualnie mieszka w Botswanie. Siedem lat temu wyjechali z Zimbabwe z powodu panującego tam kryzysu i biedy. Co ciekawe rząd zabrał im paszporty, choć oboje urodzili się na terenie Rodezji i całe życie mieszkali w Zimbabwe. Wyjeżdżając z tego kraju musieli zostawić cały swój dobytek i farmę, gdyż niczego nie dało się sprzedać. Rozmowa z naszymi gospodarzami nieco przyćmiła pozostałe atrakcje, choć i tym razem widzieliśmy nosorożce, zebry, guźce, strusie, żyrafy oraz różne antylopy i ptaki.

Po powrocie spakowaliśmy namiot i wyjechaliśmy w stronę granicy. Tuż po jej przekroczeniu kamień, który wypadł spod kół jadącej przed nami ciężarówką uszkodził nam przednią szybę w samochodzie, która już w dwóch miejscach wcześniej w ten sam sposób została uszkodzona. Dobrze, że się od takich wypadków ubezpieczyliśmy. Do Phalaborwa dojechaliśmy późną nocą mijając góry i lasy, które tak bardzo różniły się od dominującej w Botswanie sawanny.

09.11.2011 Phalaborwa -> Kruger NP -> Nelspruit (10742 km)

O 5:30 wjeżdżamy do Parku Narodowego Krugera. Początkowo spotykamy same słonie i żyrafy, które w tej części mają dużo pożywienia. Następnie po dojechaniu do Letaby wybieramy drogę wiodącą nad rzeką – Letaba River Road. Niestety poza antylopami nie udaje nam się nic ciekawego tam dostrzec. Po powrocie na główną drogę skręciliśmy na punkt widokowy Nwamanzi. Punkt ten znajduje się na wzniesieniu nad rzeką Olifants, co oznacza po arfykanersku Słonie. I rzeczywiście naszym oczom ukazało się kilkadziesiąt słoni, które przyszły nad rzekę się napić i ochłodzić. Widok był bardzo podobny do tego z samolotu, bo górka naprawdę była spora. Niedaleko udało nam się też dostrzec dwa hipopotamy, które wyszły na wysepkę i tarzały się w piasku. Natomiast na górcie szalały wokół nas małpy.

Turyści, którzy przyjechali pół godziny później niestety nie zobaczyli na tym punkcie nic, bo słonie weszły między drzewa a hipopotamy wróciły do wody.

Na kempingu Satara zrobiliśmy sobie przerwę na kawę i lody a później wyruszyliśmy na południe. Tam widzieliśmy słonie, bawoły, hieny, żyrafy, zebry, guźce, małpy, hipopotamy oraz różne antylopy i ptaki. Zaraz za Satarą udało nam się zobaczyć trzy lwy (samce). Leżały w cieniu, w rowie koło drogi. Kolejne lwy (parę) zobaczyliśmy za postojem w Tshokwane na drodze w stronę Skukuzy. Te również odpoczywały w cieniu w krzakach koło drogi. Lew ewidentnie miał ochotę na lwicę, ale ona nie odwzajemniała jego zalotów. Podobnie było z zebkami, które przytapialiśmy w intymnej sytuacji. W okolicach Crocodile Bridge tuż przed wyjazdem udało nam się zobaczyć jeszcze dwie grupy hien, wraz z małymi, a na drodze do Hippo Pool, która odchodzi stamtąd w bok spotkaliśmy przechodzącego przez drogę nosorożca. Z wielkiej piątki nie udało nam się dzisiaj zobaczyć tylko lamparta. Na tablicach ze zwierzętami było jednak zaznaczone, że kilka osób widziało tutaj lamparta. Na noc zatrzymaliśmy się w Nelspruit.

10.11.2011 Nelspruit -> PN Pilanesberg (11280 km)

Droga N1 z Nelspruit do Pretorii jest płatną autostradą, pomimo iż w większości ma po każdej stronie drogi jedynie jeden pas. Około 13 dojeżdżamy do bram Parku Narodowego Pilanesberg i od razu udajemy się na pole namiotowe wykupić sobie miejsce. Około 14 wjeżdżamy do parku na popołudniowe safari. Pilanesberg jest zupełnie inaczej ukształtowany niż parki, w których do tej pory oglądaliśmy zwierzęta. Przede wszystkim oczka wodne to jeziora utworzone za pomocą tamy, tak, aby zwierzęta miały gdzie przyjsć się napić. Poza tym teren jest górzysty i zapewnia doskonałą widoczność, nawet bardzo oddalonych zwierząt. Można nawet wjechać na punkt widokowy, z którego rozpościera się piękna panorama Pilanesbergu. W centrum znajduje się stary budynek sądu, gdyż dawniej teren parku był zamieszkały przez ludzi. Widzimy zebry, gnu, guźce, kudu, słonie, impale, nosorożca, hipopotamy, żyrafy i sporo ptaków. Większość spotykamy jednak nie przy oczkach jak to było w innych parkach.

Wieczorem rozbijamy się na kempingu, który okazuje się być zapełniony miejscowymi. Mieszkańcy RPA bardzo lubią kempingi a grillowanie wydaje się sportem narodowym. My jednak nie widzieliśmy aż tylu ludzi w samym parku, prawdopodobnie przyjechali tu na dłuższe wakacje i rzadko wjeżdżają do parku.

11.11.2011 Pilanesberg NP -> Sun City -> Rustenberg (11488 km)

Wczesnym świtem wjeżdżamy do parku na poranne safari. Zaraz za wjazdem wita nas para nosorożców, które pięknie wyglądają skąpane we wschodzącym słońcu. Potem jedziemy nad oczko, gdzie oglądamy ptaki i hipopotama. Później znowu udaje nam się spotkać dwie grupki nosorożców i to wzdłuż jednej drogi. Poza tym widzimy zebry, żyrafy, żółwia pływającego w wodzie, strusie, antylopy i słonie. Około 10 wyjeżdżamy z parku, skąd już mamy zaledwie kilka minut drogi do Sun City.

Bezpłatnym autobusem dostajemy się do centrum rozrywkowego, gdzie dowiadujemy się, że bilety na wstęp do kompleksu Lost City na ten dzień zostały już całkowicie sprzedane. Swoją drogą teraz wpuszczanych jest tylko 15 osób dziennie na wycieczkę, która zaczyna się o 13 i trwa godzinę. Przez kompleks kasyn przeszliśmy więc do The Valley of Waves - parku wodnego na terenie Lost City, gdzie spędziliśmy cały dzień pływając i zjeżdżając na zjeżdżalniach. Po drodze mija się słynny The Bridge of Time wzdłuż którego po oby stronach stoją słonie a na końcu widać znany kompleks hotelowy z jego wieżami. Podsumowując, trzeba powiedzieć, że do Las Vegas Sun City nie można zbyt porównywać, bo to zaledwie mała kropelka w stosunku do amerykańskiego odpowiednika, ale jak na Afrykę, to rzeczywiście może zadziwiać i robić wrażenie. Nocleg znajdujemy na kempingu w Rustenberg Kloof, który także jest prawie pełny.

12.11.2011 Rustenberg -> Lion and Rhino Nature Reserve -> Krugersdoorp (11594 km)

Po śniadaniu wyjechaliśmy do Lion and Rhino Nature Reserve. Sam park podzielony jest na kilka części. Jedną to zwykły park z drogami, po których jeździ się oglądając zebry, antylopy i nosorożce. Drugą stanowi wydzielona płotem

i zamykana część, gdzie oddzielnie można zobaczyć lwy, białe lwy, gepardy i dzikie psy. O 13 jest też ich pora karmienia, na którą zdecydowanie warto pojechać, gdyż zwierzęta wychodzą wtedy z ukrycia oczekując na pożywienie. Białe lwy są karmione publicznie jedynie w sobotę i wtedy najlepiej przyjechać je pooglądać. Są piękne i różnią się od innych lwów kolorem sierści, która z wiekiem zmienia się na bardziej żółtawą niż białą, ale jednak wciąż jaśniejszą niż zwykłe lwy.

W kolejnej części można pobawić się z małymi lwiątkami i gepardem. My skorzystaliśmy z okazji i weszliśmy do trzech różnych grup lwiątek (były posegregowane wiekiem: 2 miesięczne, 4 miesięczne i 6-7 miesięczne) i to do niektórych kilkakrotnie. Najlepszą porą na zabawę z lwiątkami jest poranek oraz ostatnia godzina od 15 do 16. Wtedy małe nie śpią i są bardzo ruchliwe. Niech was nie zwiedzie niewinny wygląd tych maluchów – wszystkie gryzą i drapią chcąc się bawić. Wprawdzie nie mieliśmy żadnych poważniejszych śladów, ale zadrapań i wbitych kłów do krwi mieliśmy sporo oboje. Czego się jednak nie robi dla chwili przyjemnej zabawy z lwem. Planowaliśmy tego dnia zwiedzić jeszcze jaskinię Sterkfontein, ale tak nam się podobała zabawa z małymi oraz oglądanie białych lwów, że dopiero wieczorem wyjechaliśmy z parku. Na sam koniec poszliśmy jeszcze do osobnej części znajdującej się po drugiej stronie ulicy, gdzie mogliśmy oglądnąć śmiesznie śpiącego białego lwa, tygrysy, w tym białego oraz inne zwierzęta.

13.11.2011 Krugersdoorp -> Sterkfontein -> Johannesburg (11697 km)

Rano postanowiliśmy zwiedzić jaskinię Sterkfontein, w której znaleziono najstarsze szczątki naszych przodków. W jaskini nadal widać naturalne otwory, przez które przed tysiącami lat wpadali do środka ludzie i zwierzęta. Jaskinia jest nadal czynnym stanowiskiem paleontologicznym i jak w każdej jaskini można w niej zobaczyć stalaktyty i stalagmity. Było tam również podziemne jezioro, w którym żyje niezwykle gatunek krewetek. Niestety o 15 musieliśmy oddać samochód więc nie starczyło nam już czasu, aby odwiedzić muzeum w Maropeng, gdzie podobno w ciekawy, interaktywny sposób pokazana jest historia ludzkości. Przyjechaliśmy do Johannesburga i po zakwaterowaniu w Brown Sugar Backpackers oraz wypakowaniu naszych bagaży pojechaliśmy jeszcze zwiedzić muzeum apartheidu (Apartheid Museum).

Już samo wejście do muzeum daje do myślenia - są to jakby dwa osobne wejścia, jedno dla białych, drugie dla czarnych. Muzeum jest bardzo ciekawe i z pewnością warto poświęcić na jego zwiedzenie 2-3 godzin czasu. My mieliśmy jedynie godzinkę i wyszliśmy z poczuciem niedosytu, no ale 15 zbliżała się nieubłagalnie. Wiedzieliśmy jednak, że jeśli nie pojedziemy do muzeum tego dnia (niedziela), to nie uda nam się go zobaczyć wcale, bo w poniedziałek jest zamknięte. Na lotnisko dojechaliśmy bez problemów, oddaliśmy samochód i zostaliśmy poinformowani, że pęknięcia na szybie są zbyt małe i nie będziemy odpowiedzialni za nie. Darmowym shuttlem z hostelu wróciliśmy do centrum i poszliśmy kupić bilety w Checkers Hyper w East Gate Shopping Mall. Trochę się dziwiliśmy jak można kupić bilety na autobusy dalekobieżne w markecie spożywczym, ale rzeczywiście tam je sprzedawali. Po drodze wstąpiliśmy jeszcze do sklepiku w dzielnicy chińskiej, w którym kupiliśmy herbatę chińską. Sklep nie miał innych produktów poza chińskimi, sprzedawczyni była Chinką a jej klienci rozmawiali z nią wyłącznie po chińsku. Na szczęście z angielskim też nie było problemów. Popołudnie spędziliśmy na basenie przy naszym hostelu.

14.11.2011 Johannesburg -> Soweto -> Johannesburg (11717 km)

Po śniadaniu wyjechaliśmy wraz z grupką Niemców na wycieczkę po mieście i do Soweto. Najpierw wjechaliśmy na punkt widokowy (Top of Africa) znajdujący się w największym, pięćdziesięciopiętrowym wieżowcu w Afryce w Carlton Center. Z góry można było zobaczyć panoramę miasta. Nasz przewodnik opowiadał nam jak to się stało, że centrum Johannesburga ma taką złą sławę i że większość znajdujących się tam wieżowców, hotelów i budynków jest pusta, bo nikt nie chce tam mieszkać ani prowadzić firmy. Później pojechaliśmy do Soweto. Dzielnica ta okazała się pełna kontrastów. Znajdują się tam całkiem porządne domki jednorodzinne, jak i typowe slumsy, po których oprowadzał nas „wolontariusz”. W czasie wycieczki można było nawet wejść do „dowolnego” domu w slumsach, ale dziwnym trafem wolontariusz wybrał dom za nas, więc trochę czuliśmy się rozczarowani. Oczywiście wolontariusz

prosił nas także o datki dla tutejszej społeczności, której jest przedstawicielem, ale nikogo z naszej grupy nie przekonał. Gorycz rekompensowały nam biegające radosne dzieciaczki, które były przy domach lub w miejscowym przedszkolu.

Później przewodnik zabrał nas do muzeum – domu Nelsona Mandeli. Domek jest mały, ale pełno w nim informacji i pamiątek po Mandeli, więc na pewno warto go odwiedzić. Jest też tam zdjęcie Mandeli z drugim laureatem pokojowej nagrody Nobla arcybiskupem Desmondem Tutu, który swoją rezydencję również ma na tej samej ulicy. Naprzeciwko muzeum druga żona Mandeli prowadzi rodzinną restaurację. Później pojechaliśmy jeszcze do Muzeum Hectora Pieterse, w którym mogliśmy dowiedzieć się więcej na temat protestu młodzieży przeciwko przymusowej nauce afrykanerskiego, który odbył się w 1976 r. i który zapoczątkował upadek apartheidu w RPA. Na zakończenie wycieczki mogliśmy oglądnąć z bliska świeżo wybudowany z okazji World Cup 2010 South Africa stadion narodowy w Johannesburgu. Popołudnie spędziliśmy w hostelu grając w karty i nadrabiając zaległości w pisaniu relacji. Wieczorem taksówką wynajętą w hostelu pojechaliśmy na dworzec autobusowy, skąd autobusem firmy Intercap o 22:00 wyjechaliśmy w stronę granicy z Mozambikiem.

15.11.2011 Johannesburg -> Maputo (11717 km)

O świcie dotarliśmy na granicę. Musieliśmy bardzo szybko załatwić wszystkie formalności, bo nie mieliśmy wizy do Mozambiku a jak nas poinformowano przy wsiadaniu do autobusu, nikt na nas nie będzie czekał, jeśli urzędnicy będą się grzebali z jej wyrobieniem. Rzeczywiście wyrobienie wizy trwało ponad godzinę i było raczej nieprzyjemnym przywitaniem ze strony urzędników w Mozambiku. Nie dość, że działali opieszale, to jeszcze nie chcieli nam wydać reszty z pieniędzy, które daliśmy na wizę a nie mamy w zwyczaju zostawiać napiwków w wysokości 15 USD za wyrobienie wizy. Na szczęście na granicy był bankomat, więc wypłaciliśmy meticale i nimi zapłaciliśmy za drugą wizę.

Po dotarciu do Maputo zakwaterowaliśmy się w Base Backpackers i od razu mogliśmy odczuć, że ceny z przewodnika, który był wydany rok temu są zupełnie nieaktualne. Noclegi w całym Mozambiku były o 50-100% droższe niż te podane w LP. Szybko wzięliśmy prysznic i poszliśmy zjeść wczesny obiad. Potem poszliśmy do notariusza wyrobić potwierdzoną notarialnie kserokopię paszportu i wizy. W żadnym innym kraju, w którym byliśmy nie było takich zaleceń, ale ponieważ procedura była krótka i prawie darmowa (5 MZN/os.), więc postanowiliśmy dla świętego spokoju wyrobić sobie taką kserokopię, żeby w razie kontroli nie oddawać skorumpowanej policji naszych paszportów. Po południowej drzemce poszliśmy na walking tour opisany w LP. Z wszystkich odwiedzonych miejsc najbardziej podobał nam się dworzec kolejowy oraz żelazny dom (iron house). W muzeum narodowym sztuki można zobaczyć kolorowe obrazy miejscowych malarzy, fotografie i rzeźby. Wieczorem rozmawialiśmy przy kolacji ze starszym Anglikiem, który podróżuje każdego roku przez 6 miesięcy na rowerze po różnych kontynentach oraz z sympatyczną parą polsko-hiszpańską.

16.11.2011 Maputo -> Tofo Beach (12135 km)

O 5:20 wyjechaliśmy z naszego hostelu teoretycznym shuttlem (organizowanym przez hostel Fatima w Maputo) do Praia do Tofo. Już po pół godziny mogliśmy się przekonać, że shuttle to nie będzie. Przesadzono nas bowiem z minibusika, którym jechaliśmy do zwykłego publicznego autobusu. Podczas całej podróży, która odbywała się w wielkim ścisku kierowca zatrzymał się tylko raz. To mało jak na osiem godzin jazdy w takich warunkach. W Inhambane zostaliśmy poinformowani, że autobus dalej nie jedzie, bo jest zepsuty i musimy się kolejny raz przesiąść do minibusu, który zawiezie nas do hostelu Fatima w Tofo. Oczywiście zepsuty autobus jeszcze tego samego dnia wracał do Maputo. Tak więc wygląda shuttle w wydaniu mozambijskim. Ostatecznie jednak dojechaliśmy na miejsce, oglądaliśmy kilka hoteli, ale i tak najbardziej spodobało nam się w Fatima's Nest. Ceny również były konkurencyjne, bo była akurat promocja, jeśli się zostawało na cztery lub więcej noce.

17.11.2011-19.11.2011 Tofo Beach (12135 km)

Codziennie rano pływamy w oceanie. Woda jest wzburzona i są dość duże fale, ale ich pokonywanie sprawia nam niesamowitą radość. Opalać się raczej nie da, bo słońce szybko zaczyna przypiekać, więc większość dnia spędzamy na tarasie w Fatima's Nest, z którego rozpościera się widok na plażę. Popołudniami natomiast chodzimy na spacer wzdłuż plaży. W mieście znajduje się kilka restauracyjek, więc urozmaicamy sobie czas wypróbując różne z nich. Ceny zależą głównie od poziomu turystyczności miejsca. Najtaniej jest w lokalnej knajpce Black&White, znajdującej się w samym centrum Tofo. Miejsce to jest godne polecenia nie tylko ze względu na ceny, ale również ze względu na smaczne jedzenie, jakie tam robią. Menu znajduje się przy głównej ulicy. Polecamy wszystkie owoce morza i nadziewane małe kraby. W Dino's jedliśmy pizzę i szaozmę - też dobre, ale ceny są znacznie wyższe.

Samo Tofo to niewielka miejscinka, w której poza kilkoma miejscami oferującymi noclegi i jedzenie nic nie ma. Wszystkie hotele znajdują się wzdłuż plaży, jest dostęp do internetu, ale bardzo drogi. W mieście działa też kilka biur organizujących wycieczki snorklingowe i nurkowanie, które jest tu podobno bardzo dobre. My niestety nie popłynęliśmy na snorkling z rekinami wielorybimi, bo ostatniego dnia kiedy sobie to zaplanowaliśmy była kiepska pogoda i łodzie nie pływały. Jeszcze jedna uwaga odnośnie Fatima's Nest. Pod koniec naszego pobytu zauważyliśmy, że na nogach i rękach mamy czerwone kropki od ugryzienia. Na pewno nie były to ślady po komarach, ale również śwędziały. Widzieliśmy też, że inni turyści również byli tak pogryzieni. Niektórzy mówili, że to „bed bugs”. W każdym razie albo mieliśmy jakieś dziadostwo w pościeli w pokoju albo na leżakach lub na materacach na tarasie nas pogryzły, bo nigdzie indziej nie przesiadywaliśmy. Na szczęście po kilku dniach nie było już śladu po tych ugryzieniach.

20.11.2011 Tofo Beach -> Vilanculo (12447 km)

O 6:00 wychodzimy z Fatimy i miejscowym autobusikiem jedziemy do Inhambane. Tam idziemy do portu, skąd odpływają łódki do Maxixe. Kapitan chce nas naciągnąć na dodatkową kasę za bagaże, ale się nie zgadzamy. Po przepłynięciu portu od razu znalazł się miejscowy chłopak, który mówił, że minibus do Vilanculo jest już prawie pełna i że nas do niej zaprowadzi. Rzeczywiście minibusik był prawie pełny, siedziała w nim nawet para Włochów, ale kierowca chciał dodatkowe 75 MZN za każdy plecak. Po targach zapłaciliśmy po 50 MZN, ale i tak to wymysł jedynie dla turystów. Mozambijczycy przewożą wszystko i nic za to nie płacą.

W Vilanculo zostaliśmy w Zombie Cucumber Backpackers – miejsce nam się bardzo podobało. Domek mieliśmy czystutki, w o wiele lepszym standardzie niż ten w Fatima's Nest. Na miejscu jest również mały basen i można coś zjeść. Niestety mapa z LP jest bardzo kiepska i początkowo mieliśmy duży problem, żeby odnaleźć to miejsce. Ostatecznie miejscowy chłopak zaprowadził nas na miejsce. Z Vilanculo chcieliśmy popłynąć na 2-dniowy rejs po Bazaruto. Jednak po przemyśleniu wszystkiego (a w szczególności faktu, że i tak śpi się na łodzi a nie na wyspie i to pod namiotami bez moskitiery) stwierdziliśmy, że lepiej będzie jak weźmiemy dwie osobne wycieczki: jedną na Magaruque a drugą na Bazaruto i Benguerę. Nie jest to niestety tania impreza, ceny są prawie dwukrotnie wyższe od tych sprzed 3-4 lat. Wycieczkę wykupiliśmy w Zombie z lokalną firmą Amor do Mar. Wieczorem przeszliśmy się jeszcze do Baobab Beach Backpackers na kolację i okazało się, że znajdująca się tam firma organizująca wycieczki ceni się jeszcze bardziej. Zadowoleni, że nie przepłaciliśmy poszliśmy spokojnie spać.

21.11.2011 Vilanculo -> Bazaruto -> Benguera -> Vilanculo (12497 km)

Tradycyjną miejscową żaglówką (dhow) popłynęliśmy z Włochami i Portugalką na najdalej oddalone wyspy archipelagu. Po drodze widzieliśmy delfina, który wyskakiwał nad wodę oraz przepłynęliśmy koło bardzo ładnej plaży hotelowej na Benguerze. Nasza załoga kupiła od miejscowych rybaków świeże rybki na obiad. Po dotarciu na Bazaruto wspięliśmy się nad wydmy, skąd rozpościerał się ładny widok na Benguerę i malutkie wysepki, które odstawiają się w czasie odpływu pomiędzy nimi. Wydmy są naprawdę piękne i warto się wspiąć na sam szczyt, bo stamtąd widać, że środkowa część wyspy jest zielona. Wygląda prawie jak oaza, co nas bardzo zaskoczyło. Do łódki wróciliśmy już plażą obserwując po drodze kraby, uciekające przed nami w stronę morza albo do wcześniej wykopanych przez siebie dołków. Po powrocie czekał na nas przepyszny obiad składający się z krabów, ryb, ryżu, sałatki i sosu warzywnego w pomidorach.

Niestety po wspaniałym posiłku załoga oznajmiła, że musimy popływać z maską wokół Bazaruto i nie popłyniemy na rafę dwumilową (Two Mile Reef), bo są tam zbyt wysokie fale. Oczywiście na Bazaruto nie było rafy więc nie byliśmy zadowoleni z tej decyzji, w szczególności, że rafa dwumilowa jest jednym z najlepszych miejsc w Mozambiku na nurkowanie i snorkeling. Dodatkowo wydawało nam się, że załoga nie może wiedzieć jaka jest tam sytuacja, skoro rafa jest oddalona 10 km i nawet nie spróbowaliśmy tam podплыnąć łodzią. Poza tym właściciel Amor do Mar, kiedy nas odprowadzał rano do łódki powiedział, że jeśli nie będzie warunków, to załoga nas nie zabierze na rafę dwumilową i żebyśmy na nich nie naciskali, bo to może być zbyt niebezpieczne. Nigdy nie dowiemy się, czy rzeczywiście nie mogliśmy tam popłynąć, czy załozde się po prostu nie chcieli. W zamian za to pojechaliśmy jeszcze na bardzo ładną plażę na Benguerze i postanowiliśmy pogadać z właścicielem Amor do Mar na temat zwrotu części pieniędzy lub obniżeniu ceny na kolejną wycieczkę. Rzeczywiście właściciel łodzi sam zaproponował nam, że następnego dnia zabierze nas za połowę ceny na Magaruque, jak tylko dowiedział się, że nie jesteśmy do końca zadowoleni z wycieczki, bo nie byliśmy na rafie dwumilowej.

22.11.2011 Vilanculo -> Magaruque -> Vilanculo (12519 km)

Rano z tą samą ekipą wyplłynęliśmy na znajdującą się 11 km od Vilanculo wyspę Magaruque. Niestety i tu snorkling okazał się kiepski. Z powodu silnych prądów ciężko nawet było popołudniu tam popływać. Cała wycieczka w zasadzie ograniczyła się jedynie do kolejnego dobrego obiadu (identyczny jak dzień wcześniej). Nowe osoby, które z nami popłynęły również nie były zadowolone, że zapłaciły tyle pieniędzy za tak mało interesującą wycieczkę. Wcale się nie dziwię, gdyż na Bazaruto i Benguerze przynajmniej były ładne plaże i wydmy a na Magaruque nie było nic ciekawego, chyba że ktoś lubi się przepłynąć łódką.

Podsumowując można powiedzieć, że Magaruque można sobie spokojnie odpuścić. Natomiast Bazaruto, nawet bez rafy dwumilowej jest warta odwiedzenia (z rafą tym bardziej). Ogólnie cena za obydwie wycieczki jest nieadekwatna do tego co się otrzymuje (nawet sprzęt do snorkelingu był w kiepskim stanie), co być może potęguje ogólne rozczarowanie. Po powrocie poszliśmy kupić bilety na autobus do Beira na następny dzień. Dostaliśmy przedostatnie miejsca więc rzeczywiście lepiej kupić bilety dzień wcześniej.

23.11.2011 Vilanculo -> Beira (13002 km)

Poranek rozpoczęliśmy targowaniem się o cenę za przewóz bagaży. Połowa minibusa była zapełniona przez turystów, więc miejscowi zwiertzyli świetny interes i zażądali od każdego bagażu po 150 MZN. Oczywiście my się nie zgodziliśmy i inni również (choć, gdyby nas nie było, to pewnie by zapłacili tyle ile chcieli). Po ostrych targach daliśmy po 50 MZN i wyruszyliśmy w drogę. Po drodze nasz autobus przejechał kozę – prawdopodobnie wzięli ją na obiad. Po przyjeździe do Beiry okazało się, że znajdujemy się na nowym dworcu autobusowym, daleko od centrum i nawet nie można się znaleźć na mapie. Żeby tego było mało, to jeszcze policja zażądała od nas okazania paszportu. Pokazaliśmy nasze notarialne kopie, co jednak ich nie usatysfakcjonowało i musieliśmy jednak wyciągnąć oryginalne dokumenty. Na szczęście oddali je nam bez problemów.

Kupiliśmy bilety na następny dzień na autobus do Nampuli i poszliśmy szukać minibusików jeżdżących do centrum. Na szczęście szybko nam się udało złapać transport, z bocznej uliczki prowadzącej do dworca. Na noc zostaliśmy w Hotel Infante – hotelu trzygwiazdkowym, który lata świetności ma już dawno za sobą, ale z klimatyzacją i restauracją na dole. Po południu uzupełniliśmy nasze zapasy jedzenia w markecie Shoprite, dziwiąc się cenami, w szczególności jogurtów, serów i wędlin. Jogurty były z RPA lub Portugalii a mleko z Argentyny lub Urugwaju. Nie dziwne, że wszystko jest tak drogie, skoro musiało przebyć pół świata (z naszych obserwacji wynika, że w Mozambiku nie produkują żadnej żywności z wyjątkiem bułek przypominających nasze polskie bułki pszenne). Za to musimy przyznać, że mango mają wyśmienite i za grosze (nasz rekord bez jakiegokolwiek targowania to 36 szt. za 10 MTN).

24.11.2011 Beira -> Nampula (13930 km)

Kolejny raz z rzędu wstajemy w środku nocy, żeby zdążyć na autobus firmy Mining Nice do Nampuli. Prosimy portiera o zamówienie taksówki. Oczywiście zadzwonił zwyczajnie do swojego kolegi, no ale musieliśmy mu zaufać, bo inaczej nie dotarlibyśmy na czas na przystanek. Przy okazji znalazł się też taksówkarz, który podał taką samą cenę za przejazd, więc nie czuliśmy się pokrzywdzeni.

Okolo 3:30 jesteśmy na dworcu. Autobus jest chińskiej firmy Yutong i ma po 5 siedzeń w każdym rzędzie, w sumie aż 65 miejsc siedzących. Oczywiście siedzenia są węższe i brakuje miejsca na nogi. Miejsca były numerowane, więc przynajmniej nie trzeba się było o nie bić. Pozostałe osoby, którym nie udało się dzień wcześniej kupić biletu kierowca zabierał na stojąco. Z uwagi na wysokie ceny biletów większość dzieci jechała na kolanach ich opiekunów. W efekcie przed nami na trzech siedzeniach siedziało osiem osób a jedna kobieta miała tylko jedno miejsce choć podróżowała z trójką dzieci. To najstarsze (około 5-6 letnie) przez całą drogę musiało stać koło niej (pomiędzy siedzeniami), bo ona mogła utrzymać na kolanach jedynie dwójkę dzieci. No cóż, u nas opieka społeczna z pewnością miała by co robić, ale tutaj to raczej standardowy sposób wychowywania dzieci. Nie ma zresztą co się dziwić skoro społeczeństwo jest biedne a wszystkie rodziny są wielodzietne. Po 14 godzinach jazdy dojechaliśmy do Nampuli. Wypakowywanie ludzi po drodze i tankowanie zajęło jeszcze kolejną godzinę, więc dopiero o 19:00 wysiedliśmy na przystanku autobusowym. Stamtąd poszliśmy przenocować w najbliższym położonym Residential Farhana.

25.11.2011 Nampula -> Mozambique Island (14130 km)

Postanowiliśmy nie nastawiać budzika i wyruszyć do Ilha de Mocambique nieco później, ponieważ przez dwie poprzednie noce wstawaliśmy o nieludzkich godzinach. Niestety tuż przed 6:00 do naszych drzwi zapukał recepcjonista z drugim jegomościem oznajmiając nam, że musimy się przenieść do innego pokoju, bo ten pokój jest zarezerwowany dla kogoś innego. Nie, to nie był sen. Oczywiście odprawiłam ich mówiąc, że zapłaciliśmy za ten pokój do 10 i żeby dali temu komuś tamten drugi pokój. Niestety po takiej pobudce nie udało nam się już zasnąć. Na Ilha de Mocambique dojechaliśmy minibusem. Przed samą wyspą musieliśmy zmienić minibus, bo nasz nie mógł dalej jechać, ale drugi minibus był już wliczony w cenę przejazdu z Nampuli. Zdecydowaliśmy się zostać w nastrojowym Patio dos Quintalinhos, prowadzonym przez Włocha.

Po południu poszliśmy zwiedzać całe miasto. W dwie, trzy godzinki spokojnie można obejść całą starą, północną część wyspy. Miasteczko wydało nam się bardzo podobne do Stone Town na Zanzibarze, może nieco bardziej sennego i spokojnego, ale o podobnym klimacie. Większość portugalskich zabytkowych zabudowań niestety jest w opłakanym stanie, choć widać, że przy pomocy UNESCO niektóre kamienice i place są odnawiane. Sam fort podobny był natomiast do fortów hiszpańskich, które można zwiedzić choćby na Kubie czy w Cartahenie w Kolumbii. Przepyszną kolację zjedliśmy w Bar Flor de Rosa (gnocchi z kremem krabowym jest naprawdę godne polecenia), gdzie można posiedzieć na tarasie zrobionym na dachu budynku.

26.11.2011 Mozambique Island (14130 km)

Po śniadaniu na tarasie poszliśmy zwiedzać stare miasto. Najpierw poszliśmy z przewodnikiem (wliczony w cenę biletu) zwiedzać pałac i kaplicę świętego Pawła oraz znajdujące się na jego terenie muzeum marynistyczne i sztuki sakralnej. Najbardziej spodobały się nam stare złote i srebrne monety portugalskie, które wyłowiono z zatopionych nieopodal wraków statków. Następnie udaliśmy się do fortu świętego Sebastiana i najstarszej europejskiej budowli na południowej półkuli – kościoła Nossa Senhora de Baluarte, pochodzącego z 1522 r. W samym forcie nie ma zbyt wiele do oglądania, podobnie jak w kościele, także osobom nie lubiącym tego typu zabytków powinno wystarczyć zobaczenie fortu z zewnątrz.

Okolo południa wróciliśmy do Patio na siestę, by po południu znów się udać na przechadzkę wśród historycznych zabudowań. Za każdym razem zatrzymywaliśmy się na dłużej na plaży przy meczecie, gdzie miejscowe dzieciaki bawiły się lub pływały popisując się na nasz widok. Ogólnie wyspa i jej mieszkańcy bardzo nam się spodobałi.

27.11.2011 Mozambique Island -> Pemba (14560 km)

Gdy około 3:30 rozbrzmiał donośny głos muezina nawołującego na modlitwę, wyruszyliśmy szukać minibusa do Namialo, skąd mieliśmy złapać przejeżdżający tamtędy autobus do Pemby. Minibus znalazł się bardzo szybko i jechał od razu do Namialo (nie trzeba się było przesiadać za mostem), ale niestety ponad godzinę zajęło zbieranie ludzi. Później także jechaliśmy bardzo wolno, ponieważ ludzie jechali bardzo krótkie dystanse. W efekcie do Namialo dojechaliśmy około 7:30, czyli zbyt późno by złapać jeden z dwóch lub trzech autobusów przejeżdżających tamtędy codziennie rano. Ostatecznie do Pemby pojechaliśmy amerykańskim tirem z przyczepą, siedząc w kabinie kierowcy. Cena za przejazd była taka sama jak autobusem.

Po drodze kilkakrotnie zatrzymywała nas policja i widzieliśmy, że kierowca za każdym razem wręczał policjantowi 100 MTN łapówki. Nie dziwne więc, że dorabiają sobie przewożąc pasażerów (razem z nami jechało zmieściło się tam ponad 10 osób.). Po dotarciu do Pemby złapaliśmy jeszcze miejscowego minibusa, który podwiózł nas do centrum, do przystanku Mcel, skąd pieszo doszliśmy do Pensao Baia. Był to nasz najtańszy nocleg w Mozambiku. Na miejscu jest restauracja, w której serwują tanie i smaczne posiłki. Po południu poszliśmy jeszcze do bankomatu wypłacić pieniądze, bo na Ibo nie ma takiej możliwości. Niestety była niedziela i większość bankomatów nie miało już pieniędzy a jedyny który miał był w Millenium Bank i miał limit wypłaty w wysokości 3000 MTN. Dodatkowo, aby wypłacić pieniądze trzeba było przez godzinę stać w gigantycznej kolejce, co zresztą jest tu częstym widokiem przed bankomatami.

28.11.2011 Pemba -> Ibo Island (14630 km)

Przed 4:00 byliśmy już na przystanku Mcel. Mniej więcej o tej godzinie wszystkie minibusy i autobusy zaczynają rutynowo objeżdżać miasto w poszukiwaniu pasażerów. Kilka minut później siedzieliśmy już w małej ciężarówce do Quissangi. Mi się trafiło miejsce koło kierowcy. Przemek niestety musiał się zadowolić odkrytym tyłem ciężarówki. Z Pemby wyruszyliśmy około 5:00. Do Quissangi odjeżdżają codziennie o tej samej porze trzy ciężarówki. Tuż po wyjechaniu za miasto ludzie z innej ciężarówki do Quissangi musieli się przesiąść do nas, gdyż ich ciężarówka się zepsuła. Tym sposobem nie musieliśmy się po drodze zbyt często zatrzymywać, by zabierać kolejnych pasażerów, gdyż już nie było dla nikogo więcej miejsca. Mniej więcej po godzinie jazdy wysiadło sprzęgło w naszej ciężarówce lecz kierowca z pomocnikami w godzinę naprawili usterkę. Pogoda była zmienna. Kilkakrotnie padało. W czasie największego deszczu pasażerowie siedzący z tyłu zostali przykryci płachtą. Większość pasażerów wysiadła w Quissandze. Dalsze 7 km do miejsca, skąd odpływają łódki na Ibo pokonaliśmy w mniejszym ścisisku. Po drodze zakopaliśmy się w błocie i przez dłuższą chwilę nie mogliśmy się z niego wydostać. Na szczęście mężczyźni z przejeżdżającej z drugiej strony ciężarówki pomogli naszym chłopcom wypchać samochód nieco dalej, gdzie nie było już takiego błota (nota bene sami później też ugrzęźli w tym samym miejscu).

Po dotarciu na miejsce wszyscy się ulokowali pod wielkim parasolem w cieniu, bądź pod bambusem. Łódki przyplývają tylko wtedy, gdy jest wysoka fala, więc musieliśmy poczekać do 14, aż się woda trochę podniosła, żeby odpłynąć. Do łódki, która stoi nieco głębiej w wodzie można podejść pieszo lub podpłynąć za drobną opłatą małą łódką z miejscowymi chłopcami. Podróż na Ibo minęła nam szybko (trwała niecałą godzinę). Byliśmy zdziwieni, że kapitan nie chciał od nas dodatkowych pieniędzy za bagaż, co podobno ma często miejsce, ale może nie miał po prostu wyjścia, gdy wręczyliśmy mu 100 MTN za naszą dwójkę i nie musiał nic wydawać. Na Ibo czekali już na nas miejscowi chłopcy, którzy koniecznie chcieli nam pokazać różne miejsca noclegowe. Po obejrzeniu kilku miejsc zdecydowaliśmy się zostać w Miti Miwiri, ze względu na najlepszą jakość w stosunku do ceny i ogólnie możemy to miejsce polecić (lepiej opłaca się płacić w dolarach, gdyż inaczej mają kiepski przelicznik). Wieczorem zjedliśmy kolację w miejscowej knajpce znajdującej się tuż obok naszego hotelu (jedzenie w Miti jest drogie a na wyspie nie ma zbyt wiele możliwości, żeby tanio zjeść, warto więc zabrać ze sobą choćby muesli na śniadanie). Zdziwiło nas to, że wszędzie obiad i kolację należy wcześniej zamówić na konkretną godzinę. Inaczej możemy nic nie dostać lub czekać w nieskończoność.

29.11.2011 Ibo Island (14630 km)

Mimo, że rano przywitało nas słońeczko, to dość szybko zrobiło się pochmurno i szaro. Myśleliśmy o wycieczce na wyspę Quirimba, ale stwierdziliśmy, że piesza wędrówka przez kilka godzin w takim upale nie będzie dobrym pomysłem. Ibo nie ma też jako takiej plaży w samym mieście (jest jedna ale po przeciwnej, wschodniej stronie wyspy), więc nie pozostało nam nic innego jak pospacerować po mieście. Chcieliśmy też popływać, ale z powodu odpływu było to niemożliwe aż do popołudnia, kiedy to poziom wody znów zaczął się podnosić. Poleżeliśmy także trochę w ogrodzie.

Chłopiec, który z nami chodził, kiedy przyплыliśmy na Ibo zaproponował, że może nam zorganizować następnego dnia wycieczkę na wyspę Matemo. Przyprowadził też właściciela łodzi, który miał nas zabrać za 2000 MTN na całodniową wycieczkę. Umówiliśmy się, że o 19:00 damy mu odpowiedź a w międzyczasie poszliśmy się zapytać do Ibo Island Lodge (najdroższy hotel na wyspie), czy nie organizują jakiejś wycieczki następnego dnia lub za ile mogliby nas zabrać na Matemo. Właściciel Ibo Island Lodge (chyba Anglik) zaproponował nam, że zabierze nas na sand bank (piaszczyste wysepki powstające przy odpływie) tuż przy Matemo za 30 USD/os., jeśli jego goście też będą płynąć albo zorganizuje nam taką wycieczkę za 50 USD/os., jeśli będziemy sami. Za 150 USD zgodził się wypożyczyć łódkę na całodniową wycieczkę na Matemo, choć stwierdził, że sand bank jest ciekawszy. Kiedy wróciliśmy tam po dwóch godzinach, zdecydowaliśmy się popłynąć z jego gośćmi na sand bank. Później okazało się, że dobrze zrobiliśmy, gdyż miejscowy kapitan nie pojawił się o 19:00 w umówionym miejscu i nie popłynęlibyśmy nigdzie.

30.11.2011 Ibo Island -> Matemo -> Ibo Island (14650 km)

Po porannym zwiedzaniu fortów na Ibo, o 10:30 wyплыliśmy na wycieczkę. Byliśmy zaskoczeni, że jest tyle samo obsługi co turystów. Sam sand bank a w zasadzie dwa sand banki są urokliwe. Można wokół nich popływać, choć nie ma tam rafy. Ibo Island Lodge zapewnił nam w cenie 30 USD ręczniki plażowe, picie, lunch i sprzęt do snorklingu (pierwszy raz nie był on rozklekotany, ale nowiutki). Po przybyciu na sand bank poszliśmy robić zdjęcia i pływać a w tym czasie załoga rozbiła nam namiot, rozłożyła stół i krzesła oraz nakryła do lunchu; był nawet czyściutki obrus. Sałatka krabowa, którą podali na lunch była wyśmienita, także z obsługi byliśmy naprawdę zadowoleni.

Po lunchu popłynęliśmy natomiast na rafę koralową, gdzie udało nam się nareszcie porządnie popływać z maską i rurką. Rafa była piękna, bogata i niezniszczona oraz kryła w sobie wiele stworzeń morskich. W drodze powrotnej udało nam się nawet pożeglować. Po doplynięciu na Ibo czekał na nas szef Ibo Island Lodge wraz ze swoimi pracownikami. Przynieśli nam nawet czyste zmoczone świeżą wodą ręczniczki do wytarcia twarzy i rąk. Podsumowując, ta wycieczka i z tym organizatorem jest zdecydowanie godna polecenia, szczególnie biorąc pod uwagę jej niską cenę i wysoką jakość obsługi. Dodatkowo, w porównaniu do wycieczek na Bazaruto udało nam się w końcu snorkling, bo było co podziwiać. Poza tym wydaje nam się, że bez wyprawy na sand bank lub którąkolwiek inną wysepkę archipelagu Quirimbas tak długotrwała i męcząca wyprawa na samo Ibo była by niewarta zachodu.

01.12.2011 Ibo Island -> Pemba (14720 km)

Wstaliśmy o 5:00, by zdążyć na łódkę odpływającą do Tandanhanque. Po drodze rybacy sprzedawali swoje połowy. Po dotarciu na ląd czekał już na nas minibus. Załadowani do granic możliwości ruszyliśmy razem z kurami w stronę Pemby. Po drodze, na przystankach prawie wszyscy zaopatrzyli się jeszcze w banany i mango, które konsumowali na miejscu.

Mniej więcej w połowie drogi mieliśmy przymusowy postój, gdyż ciężarówka przewożąca kostkę brukową utknęła w błocie. Na szczęście dość szybko udało się jej wyjechać i wszyscy ruszyliśmy w dalszą drogę. Na nasze nieszczęście przez większość drogi trzech mężczyzn drąc się w niebogłosy rozmawiało tuż obok nas ze sobą. Ogólnie musimy stwierdzić, że mężczyźni w Mozambiku wyjątkowo dużo i głośno rozmawiają. W Pembie ponownie wybraliśmy się na nocleg do Pensao Baia. W nocy po raz kolejny było nieznośnie gorąco, tak iż ciężko było zasnąć, mimo działającego non stop wentylatora.

02.12.2011 Pemba -> Nampula (15150 km)

Przed 4:00 spod Mcela złapaliśmy autobus znanej nam firmy Mining Nice jadący do Nampuli. Droga upłynęła nam w wielkim hałasie (cały czas głośno leciały teledyski, co zdaje się być normą w autobusach tej firmy, gdyż identycznie było w autobusie z Beiry do Nampuli). Miejscowym to zupełnie nie przeszkadza. Wręcz przeciwni klaskali i śpiewali razem z piosenkarzami, jak gdyby byli właśnie na ich koncercie. Kierowca autobusu natomiast szalał na drodze i już o 9:00 byliśmy w Nampuli. Niestety na przystanku autobusowym wpadliśmy w oko miejscowym policjantom, którzy nie tylko nas wylegitymowali, ale jeszcze ewidentnie oczekiwali łapówki za oddanie nam paszportów. Grozili nam nawet rewizją osobistą, choć absolutnie nie mieli żadnych podstaw do tego. Wzięliśmy ich jednak na przetrzymanie i udawaliśmy, że nie wiemy o co im chodzi, więc po 10 minutach nas puścili. Kolejny raz potwierdzone przez notariusza kopie paszportu się nie przydały.

Po ostatnich przebojach z obsługą Residential Farhana postanowiliśmy pójść do Residential A Marisqueira, gdzie było nieco drożej, ale bez karaluchów i z cichszą klimatyzacją. Polecany przez Yaho de Ville Hotel Lurio niestety znacznie podniósł ceny i obecnie dwójka kosztuje tam prawie 100 USD. W samej Nampuli nie ma zbyt wiele do zwiedzania. Godna polecenia jest jedynie katedra Matki Boskiej Fatimskiej, znajdująca się naprzeciwko Hotelu Girassol. Nawet Shoprite, w którym chcieliśmy się zaopatrzyć w jedzenie na podróż pociągiem nie dał rady się utrzymać w tym mieście i został zamknięty. Przed 14 poszliśmy na stację kolejową kupić bilety na pociąg. Niestety okazało się, że następnego dnia (sobota) będzie jechał skład jedynie z trzecią klasą wagonów, pomimo iż w ten dzień powinien jechać także wagon drugiej klasy, na którą chcieliśmy kupić bilety. No cóż, nie mieliśmy wyboru, kupiliśmy bilety na trzecią klasę i poszliśmy odpocząć w schłodzonym pokoju hotelowym.

03.12.2011 Nampula -> Mandimba (15688 km)

Pomimo posiadania biletów na pociąg postanowiliśmy być na stacji już o 4:00, czyli godzinę przed odjazdem pociągu. Był to strzał w dziesiątkę, ponieważ o tej godzinie (po uprzednim sprawdzeniu biletów) zaczęto wpuszczać pasażerów na peron i do pociągu. Kolejki były dwie, więc ustawiliśmy się w krótszej z nich, nieświadomi tego, że to kolejka dla żołnierzy. Na szczęście wszyscy uprawnieni do stania w niej skończyli się tuż przed nami i wpuszczono nas bez problemów jako następnych w kolejce. Dzięki temu udało nam się zająć dobre miejsca siedzące, co zważywszy na liczbę pasażerów nie byłoby pewnie możliwe, gdybyśmy stanęli w drugiej kolejce. Inni turyści, którzy wsiedli później i nie mieli już gdzie usiąść poszli do mozambijskiego WARS-u, gdzie po drobnych zakupach mogli przesiedzieć całą podróż. Siedzenia w 3 klasie są strasznie niewygodne (siedzi się na zwykłej desce), ale na szczęście mieliśmy ze sobą karimaty, które po rozłożeniu wspaniale sprawdziły się jako obicie siedziska. Ku naszemu zdziwieniu pociąg ruszył punktualnie (słyszeliśmy od innych podróżników, że kilka dni wcześniej pociąg miał 9-godzinne opóźnienie). Za oknami pojawiły się pierwsze, skąpane we wschodzącym słońcu ciekawe góry, które widzieliśmy wcześniej na zdjęciach innych turystów.

Później co kilkanaście/kilkadziesiąt kilometrów pociąg zatrzymywał się w różnych miejscowościach. Przez okno można było kupić wszystko: bułki, jajka, banany, mango, napoje, słodycze, nerkowce, smażone pampuchy a w porze obiadowej frytki, sałatkę i kawałki smażonego kurczaka. Każdy przystanek dostarczał nowych ciekawych widoków. Trzeba przyznać, że podróżując tym pociągiem naprawdę można zobaczyć prawdziwy Mozambik i Mozambijczyków. Do Cuamby dotarliśmy o 15:30 i postanowiliśmy kontynuować podróż jednym z czekających na pasażerów pociągu minibusów do Mandimby na granicy z Malawi. Niestety z powodu problemów z paliwem w Malawi musieliśmy zrezygnować z podróży przez Entre Lagos – nie mielibyśmy bowiem jak się stamtąd dalej wydostać. Na miejsce dojechaliśmy wykończeni, nie tylko ze względu na całonocną podróż pociągiem, ale przede wszystkim z uwagi na zepsute siedzenie w minibusie, którym jechaliśmy. Poszliśmy przenocować do motelu bez nazwy naprzeciwko przystanku autobusowego, posilając się frytkami i sałatką sprzedawanymi na ulicy.

04.12.2011 Mandimba -> Liwonde NP (15818 km)

Około 7 wraz z poznanym Hiszpanem wyruszyliśmy w stronę granicy. Po wymianie pieniędzy u miejscowych chłopców mieliśmy pojechać rowerową taksówką do granicy. Niestety zaczęło mocno padać i ze względów bezpieczeństwa musieliśmy poszukać innego transportu. Oczywiście zaraz znalazł się ktoś chętny do przewiezienia

nas za grube pieniądze do granicy, ale my nie mieliśmy już zbyt wiele meticali, bo przed chwilą je wymieniliśmy i postanowiliśmy wstrzymać się chwilę z podjęciem decyzji. Nagle pojawił się autobus, z którego podbiegł do nas naganiaz i zapewnił nas, że jedzie do granicy. Długo się nie zastanawiając, wsiedliśmy do niego i po krótkiej chwili byliśmy już na granicy. Ku naszemu zaskoczeniu okazało się, że autobus specjalnie dla nas pojechał na granicę a reszta pasażerów jedzie do Quelimane. Zapłaciliśmy po 50 MZN od osoby i serdecznie podziękowaliśmy za podwózkę. Formalności na granicy poszły szybko, ale wciąż padało, co nadal uniemożliwiało podróż po ziemi niczyjej rowerem, więc zapytaliśmy, czy może któryś z kierowców tira, który właśnie podjechał może nas podwieźć do malawijskiej granicy. Miły młody chłopak od razu się zgodził (za 20MZN/os.). W drodze do punktu kontrolnego dogadaliśmy się jeszcze, że dalej zawiozą nas do Liwonde, przez które i tak mieli jechać. Na granicy Malawi również nie mieliśmy żadnych problemów i po wypełnieniu formularza otrzymaliśmy pieczętkę wjazdową do kraju na 30 dni. Następnie pożegnaliśmy się z Hiszpanem, który jechał do Monkey Bay, zjedliśmy przygotowane przez pomocnika kierowcy ciężarówki śniadanie (nszima z kurczakiem) i pojechaliliśmy do Liwonde.

Podróż upłynęła nam spokojnie i w miłej atmosferze. Na miejscu pomocnik kierowcy załatwił nam jeszcze rowerowe taksówki do Bushman's Baobab (ok. 6 km od Liwonde), prowadzone przez dawnego właściciela Chinguni Hills, które niestety zostało zamknięte z powodu jego problemów z administracją parku. W nowym lodge'u byliśmy sami. Od razu zapisaliśmy się na popołudniowe safari czułem i zjedliśmy dobry obiad. Sama wycieczka stała ciągle pod znakiem zapytania, gdyż deszczowe chmury nadal wisały nad naszymi głowami. Na szczęście padać zaczęło dopiero kiedy byliśmy na środku jeziora i to na krótko, więc spokojnie odbyliśmy zaplanowany rejs. W drodze na jezioro musieliśmy trochę poczekać, bo przy brzegu rzeki słonie konsumowały obiad, co stanowiło dla nas zagrożenie. Na samym jeziorze udało nam się jeszcze zobaczyć dwa stada hipopotamów oraz wiele rodzajów ptaków. Na brzegu widać natomiast było impale i waterbucki. Nie wiem jednak czy nie najlepszą atrakcją całej wycieczki był widok kilku miejscowych mężczyzn siedzących wysoko w konarach kielbasianego drzewa (kigelia afrykańska). Kolację zjedliśmy przy świetle lampy naftowej (nie ma tam prądu), co od razu przywodziło nam na myśl obrazy z „W pustyni i w puszczy” i tym podobnych afrykańskich inspiracji.

05.12.2011 Liwonde NP -> Cape Maclear (16034 km)

Rano szybko wypiliśmy kawę oraz herbatę i wyruszyliśmy na safari jeepem. Po przekroczeniu granic parku skierowaliśmy się na drogę prowadzącą przy rzece. Po raz kolejny w czasie tej podróży zobaczyliśmy, w jak odmiennych warunkach mogą żyć te same zwierzęta. Tutaj oprócz drzew akacjowych i kielbasianych były także kaktusy i palmy, co zwykle nie kojarzy się z afrykańskim buszem. W czasie safari widzieliśmy słonie, impale, pawiany, kudu i waterbucki. Po powrocie do lodge'a zjedliśmy śniadanie i korzystając z rowerowych taksówek pojechaliliśmy do Liwonde, gdzie znaleźliśmy mały autobus do Monkey Bay.

Już przy okazji tej pierwszej podróży lokalnymi środkami transportu w Malawi zauważyliśmy pewne różnice w podróżowaniu w stosunku do Mozambiku. Otóż w Malawi nikt nie chciał dodatkowych pieniędzy za przewóz bagażu i zwykle nie upychano więcej pasażerów niż było miejsc siedzących w rzędzie. Ci, którzy nie załapali się na miejsca siedzące mogli jechać w dużych autobusach na stojąco. Jedyne co nas dobiło, to targowanie się o cenę przejazdu. Zwykle, kiedy pytaliśmy się o cenę przejazdu, podawano nam dwukrotnie większą niż rzeczywista. Najlepiej zatem znać cenę z góry (np. pytając się o to wcześniej miejscowych ludzi - niestety ceny z nowego przewodnika LP były już mocno nieaktualne, około dwukrotnie zaniżone, ale to prawdopodobnie z powodu problemów paliwowych w Malawi), wsiaść do autobusu i następnie wręczyć wyliczoną kwotę konduktorowi. Do Monkey Bay dotarliśmy po 4 godzinach jazdy, gdyż autobus nie jechał szybciej niż 50 km/h. Tam musieliśmy ostro targować się o cenę przejazdu do Cape Maclear i tak ostatecznie przepłacając za przejazd w stosunku do miejscowych ludzi. Niestety ta trasa ma to chyba do siebie, bo wszyscy których pytaliśmy zapłacili jeszcze dużo więcej od nas. Na szczęście w drugą stronę znaleźliśmy już właściwą cenę i tyle po prostu zapłaciliśmy kierowcy, kiedy nas wysadzał. Zatrzymaliśmy się w dormitorium w Gecko Lodge, mimo że gdzie indziej za te same pieniądze można było mieć dwójkę. Gecko miało jednak dobre położenie, dobrą restaurację i świetną infrastrukturę (było gdzie posiedzieć, zarówno na plaży i w cieniu), co przy kilkudniowym pobycie jest czasem ważniejsze niż dwójka.

06.12.2011 – 08.12.2011 Cape Maclear (16041 km)

Pierwszego dnia popłynęliśmy na rejs na wyspę Thumbi, gdzie mieliśmy możliwość snorklingu wśród kolorowych rybek. Jezioro Malawi znane jest wszystkim właścicielom rybek akwariowych, gdyż to właśnie z niego pochodzi najwięcej gatunków rybek akwariowych. Podczas snorklingu czuliśmy się jakbyśmy pływali właśnie w wielkim akwarium. Obawialiśmy się trochę, że zachorujemy na bilharzję (chorobę roznoszoną przez ludzi i ślimaki), ale stwierdziliśmy (po zapewnieniu miejscowych, że jej w tym miejscu nie ma), że zaryzykujemy i nie żałujemy, bo widoki były świetne. Po przepysznym obiedzie popłynęliśmy karmić bieliki afrykańskie (fish eagle) a następnie popłynęliśmy jeszcze na Otter Point, gdzie kolejny raz mieliśmy snorkling. Większość turystów niesłusznie omijała to miejsce, ograniczając się do Thumbi Island, ale nam się tam bardzo podobało i serdecznie polecamy to miejsce. Kolejne dni spędziliśmy na plażowaniu i pływaniu.

Cape Maclear jest pięknie położoną miejscowością nad jeziorem Malawi. Można tu naprawdę wypocząć. Byliśmy nawet zaskoczeni, że jest tu tak ładna plaża a przecież nie jest to plaża morska. Poza tym pobyt tutaj daje możliwość poobserwowania życia mieszkańców Malawi. Pomiędzy turystycznymi logde'ami, wzdłuż plaży, znajdują się także domki miejscowej ludności. Większość kobiet i mężczyzn przychodzi się wykąpać w jeziorze, zrobić pranie, wymyć garnki, talerze i kubki. Poza tym malawijskie małe golasy przesiadują godzinami w wodzie i na piasku, nie przejmując się zbytnio groźną im chorobą. Koło Gecko codziennie gra i śpiewa miejscowa dziecięca orkiestra (grająca na tzw. „niczym”, czyli opakowaniach po oleju itp.) a idzie im naprawdę świetnie. Ostatniego dnia kiedy szliśmy główną drogą w miejscowości do sklepu, zobaczyliśmy duże zbiorowisko miejscowych kobiet na jednym z podwórek. Początkowo myśleliśmy, że kobitki się zebrały na plotki, ale kiedy wracaliśmy, to śpiewały. Przysiedliśmy spokojnie koło nich i przysłuchiwaliśmy się im. Potem w rozmowie z jedną z nich dowiedzieliśmy się, że to miejscowy chór kościelny przygotowuje pieśni na Narodzenie Pańskie. Kiedy po kilku pieśniach zapytaliśmy, czy możemy je nakręcić ochoczo się zgodziły a nawet specjalnie wstały i ustawiły się do kamery. Dzięki temu będziemy mieli wspaniałą pamiątkę z tego przemilego spotkania. Ogólnie musimy powiedzieć, że ludzie w Malawi są niezwykle sympatyczni, pomocni i uśmiechnięci. Choć nie mają wiele, cieszą się prostym życiem, które wiodą. Bardzo aktualne zatem wydaje się hasło reklamowe Malawi – „The warm heart of Africa”.

09.12.2011 Cape Maclear -> Chipata (16486 km)

Wstaliśmy o 5:00 by złapać poranną matolę (tak tu się nazywa otwartego pickupa) do Monkey Bay, skąd chcieliśmy popłynąć legendarną Ilalą na wyspę Likoma. Kiedy jednak doszliśmy do portu okazało się, że Ilala zepsuła się 2 tygodnie wcześniej w Chilumba i wciąż ją tam naprawiają. Wiedzieliśmy, że nie mamy innej możliwości dostania się na wyspę, więc musieliśmy drastycznie zmienić nasze plany i udaliśmy się w stronę granicy z Zambią. Po drodze wielokrotnie musieliśmy zmieniać środki transportu: w Salima, w Lilongwe a następnie na granicy z Zambią. Przy wjeździe do Zambii zostaliśmy nawet zapytani o szczepionkę na żółtą febrę, choć w przewodniku nie było informacji, że przy wjeździe do Zambii będzie sprawdzana. My mieliśmy ją na szczęście, ale zastanawiamy się, co by było, gdybyśmy jej nie mieli.

Na granicy okazało się także, że bardzo niekorzystnie wymieniają malawijskie kwacha na zambijskie (traci się około 30 %). Niezadowoleni z przelicznika (a mieliśmy sporo gotówki, bo byliśmy przygotowani na wyjazd na Likomę) stwierdziliśmy, że spróbujemy sprzedać je w Chipata lub innym turystom, którzy wybierają się do Malawi. Wymieniliśmy tylko 100 USD w banku znajdującym się na granicy (kwacha niestety nie wymieniali), żeby mieć za co dojechać do Chipata. Po stronie zambijskiej wzięliśmy współdzieloną taksówkę, która wysadziła nas na stacji benzynowej Total w Chipata, skąd już było bardzo blisko do Dean's Hill View Lodge.

10.12.2011 Chipata (16486 km)

Rano mieliśmy wyruszyć do South Luangwa NP, ale okropnie padało i stwierdziliśmy, że w taką pogodę nie ma co się pchać do parku narodowego, szczególnie, że noclegi tam są drogie. Pojechaliliśmy do centrum, gdzie chcieliśmy wymienić pieniądze. Niestety tutaj także przelicznik był równie kiepski jak na granicy, 19 do 1 (kurs bankowy 29 do

1). Ostatecznie skusiliśmy się na propozycję miejscowego cinkciarza 21 do 1. Na początku policzył na kalkulatorze kwotę, która okazała się znacznie zaniżona. Następnie niczym daliśmy swoje pieniądze, dostaliśmy od niego pieniądze, ale brakowało jednego banknotu. Sprawdził, dodał jeden banknot, my sprawdziliśmy i tym razem brakowało pięciu. Nie widzieliśmy jak to się stało. Dwa razy chciał nas oszukać, więc powinniśmy się wycofać, ale tego nie zrobiliśmy.

Gdy już mieliśmy przeliczone pieniądze, daliśmy swoje i chcieliśmy odejść. Cinkciarz, po uwagach ze strony swoich kolegów stwierdził, że jednak dał nam za dużo i nie chce za tyle wymienić naszych pieniędzy. Zaproponował kurs 19 do 1, na który nie chcieliśmy się zgodzić. Baliśmy się problemów ze strony cinkciarzy, więc oddaliśmy mu zambijskie kwacha, niestety on nam oddał kwotę o 6 banknotów (3000 malawijskich kwacha, czyli około 60 zł) mniejszą. Gdy się zorientowaliśmy, że taka sytuacja ma miejsce nie mieliśmy już nawet kogo ścigać. Po gościach ślad zaginął. Morał z tego taki, żeby nie wymieniać tutaj pieniędzy u cinkciarzy. Już na granicy mówili, że cinkciarze oszukują. Popołudnie spędziliśmy w Dean's Hill View Lodge grając w karty, sudoku i oglądając zdjęcia z podróży.

11.12.2011 Chipata -> Mfuwe (16606 km)

Rano obudziło nas słońce, więc po śniadaniu taksówką pojechaliśmy na dworzec autobusowy. Busik do Mfuwe już tam stał. Po krótkich targach ustaliliśmy cenę przejazdu oraz poprosiliśmy, aby kierowca nas zawiózł do Marula Lodge. Wprawdzie podana w LP cena noclegu w tym lodge'u była wysoka, jednak właściciel Dean's Hill View Lodge zapewnił nas, że dostaniemy tam nocleg za 10 USD/os.

Niestety na zapelnienie busika czekaliśmy aż do 14:00. Wyboru jednak nie było, bo jest tylko jeden minibus dziennie do Mfuwe. Droga jest wyboista, szutrowa, więc o mały włos nie zwymiotowałam. Pokonanie 120 km zajęło nam prawie 4 godziny. Na miejscu przywitała nas miła właścicielka Jane i zapewniła, że wprawdzie dormów nie mają, ale da nam domek w cenie dla backpackerów, w cenie kempingu. Lodge leży nad rzeką Luangwa, więc poszliśmy popogłądać kąpiące się w wodzie hipopotamy, zjedliśmy kolację i poszliśmy spać, zmęczeni trudami podróży.

12.12.2011 Mfuwe -> South Luangwa NP -> Mfuwe (16646 km)

Po 6:00 mimo kilku kropli deszczu postanowiliśmy pojechać na poranne safari. Naszym przewodnikiem był David, który dopiero miesiąc wcześniej uzyskał uprawnienia do prowadzenia safari. Mimo młodego wieku wykazał się dużą wiedzą i umiejętnościami. Udało nam się zobaczyć hipopotamy (których w rzece Luangwa jest największa koncentracja na świecie), żyrafy Thornicroft'a, zebry, bawoły, słonie, impale, puku i kudu. Wróciliśmy po około czterech godzinach.

Po powrocie odpoczęliśmy przy basenie i nad rzeką a po obiedzie pojechaliśmy na wieczorne safari (od 15:30 do 20:00). Przed zmrokiem zobaczyliśmy tylko hipopotamy, słonie, ciężarną hienę i różne antylopy. Jednak po zmroku pojechaliśmy w inną stronę parku, gdzie zobaczyliśmy lamparta polującego na antylopę puku. Widok był niesamowity, gdyż mogliśmy zobaczyć jak lampart powoli, w niskiej pozycji, zbliża się do małego puku i z odległości około dwóch metrów rzuca się na nie. Puku krótko zapiszczało, ale szybko zostało zagryzione przez lamparta, chwyczone za kark i wyniesione w krzaki a następnie prawdopodobnie na drzewo. Tego ostatniego nie udało nam się zobaczyć, gdyż musieliśmy już wracać do bramy wjazdowej ze względu na późną godzinę.

13.12.2011 Mfuwe -> South Luangwa NP -> Mfuwe (16686 km)

Tak samo jak poprzedniego dnia, około 6:00 wyruszyliśmy w stronę parku narodowego South Luangwa. Podczas tego safari widzieliśmy hipopotamy, słonie, zebry, guźce, impale, kudu, puku i bushbacki. Później pojechaliśmy w inną część parku, gdzie ostatni raz, cztery dni wcześniej widziano lwy. Zwykle lwy można spotkać codziennie w tym parku, ale właśnie zaczął się sezon walki lwów o terytoria i przywództwo w stadach, przez co lwów wciąż nie było. W ogóle ta część parku była wyjątkowo pusta, bo od 8:00 do 9:30 nie zrobiliśmy żadnego zdjęcia.

Za to podczas wieczornego safari kolejny raz udało nam się zobaczyć polującego lamparta. Tym razem jednak tuż po upolowaniu przez niego antylopy pojawiły się inne samochody z turystami, więc nie mieliśmy takiego spokoju jak dzień wcześniej. W każdym razie to nasz przewodnik David znalazł kolejną noc z rzędu lamparta. Lampart zabrał swoją zdobycz na drzewo, bo pod nim krążyły hieny chcąc mu odebrać upolowaną impalę. Szczęśliwi, że zobaczyliśmy kolejnego lamparta podczas łowów wróciliśmy na kolację do Marula Lodge. Obsługa lodge'a w nocy widziała dwa lamparty kręcące się koło naszego domku. Dobrze, że nie wpadliśmy na pomysł nocnego oglądania zwierząt nad rzeką.

14.12.2011 Mfuwe (16706 km)

To już ostatni dzień w Mfuwe. Dziś nie pojechaliliśmy już na safari (i tak cztery safari kosztowały nas majątek), ale czekaliśmy na możliwość załapania się na tani lot do Lusaki w ramach stand-by ticket, który można kupić dopiero na trzy godziny przed odlotem samolotu. Później czeka się na potwierdzenie, że w samolocie będą miejsca dla nas. Na ten dzień były jeszcze cztery wolne miejsca, więc była spora szansa, że polecimy. Te bilety są znacznie tańsze (63 USD zamiast 250 USD), więc kto wie o takiej możliwości, to próbuje je kupić, szczególnie, że minibus do Chipaty jedzie tylko w środku nocy i nie wiadomo, co później z sobą zrobić. Niestety, kiedy przyjechaliliśmy na lotnisko okazało się, że wbrew zasadom trzech Hindusów kupiło bilety przed godziną, kiedy można to było robić. Córka właścicieli Marula Lodge próbowała się jeszcze wyklócić o miejsca dla nas przed nimi, ale niestety nic to nie dało. Afryka! Zasady zasadami, ale zawsze się znajdzie ktoś, kto ich nie przestrzega. Zawiedzeni wróciliśmy do Marula Lodge i dogadaliśmy się z Mattem ze Stanów, którego tam poznaliśmy, że nas rano podwiezie swoim samochodem do Chipaty. Popołudnie spędziliśmy przy basenie i nad rzeką, oglądając krokodyla i hipopotamy.

15.12.2011 Mfuwe -> Lusaka (17431 km)

O 5:30 wyjechaliliśmy w kierunku Chipaty. Droga jest okropna, ale na szczęście Matt jechał wolno i ostrożnie, więc znacznie lepiej znieśliśmy tę podróż niż w poprzednią stronę. Na przystanku okazało się, że właśnie odjeżdża autobus do Lusaki, więc szybko kupiliśmy ostatnie bilety i małe przekąski i wyruszyliśmy w drogę. Po drodze jechaliśmy przez góry. Miejscowi rybacy sprzedawali wędzone ryby i wyroby z wikliny. W Lusace na przyjezdnych czekał spory tłumek taksówkarzy. Po drobnych targach pojechaliliśmy taksówką do Chachacha Backpackers. Kiedy pod niego podjechaliliśmy okazało się, że obecnie nazywa się Lusaka Backpackers. Po chwili niepewności okazało się jednak, że to nie żadna próba oszustwa, ale hostel rzeczywiście zmienił nazwę.

16.12.2011 Lusaka -> Livingstone (17906 km)

Cały poprzedni wieczór próbowaliśmy dodzwonić się do Chimfunshi Chimpanzee Sanctuary, by dowiedzieć się, czy odbiorą nas z głównej drogi, jeśli tam pojedziemy. Problemem jest to, że nie dojeżdża tam publiczny transport a taksówka jest bardzo droga. Niestety nie odbierali telefonów, więc zrezygnowaliśmy z tego pomysłu i postanowiliśmy zobaczyć raz jeszcze wodospady Wiktorii. Także kolejny dzień z rzędu spędziliśmy prawie w całości w autobusie. Odległości pomiędzy poszczególnymi atrakcjami w Zambii są ogromne. Ciekawym wydarzeniem było kazanie jakie przed rozpoczęciem podróży w autobusie wygłosił czarnoskóry pastor – wielu podróżników zwraca na to uwagę, bo nie zdarza się to w innych krajach afrykańskich. Zresztą w autobusie przez pół drogi dane nam było oglądać program o innym pastarze, który w imię Jezusa uzdrawia. Na noc zatrzymaliśmy się Livingstone Backpackers.

17.12.2011 Livingstone -> Victoria Falls -> Livingstone (17928 km)

Cały dzień spędziliśmy nad wodospadami Wiktorii po stronie zambijskiej. Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko uda nam się nad nie wrócić (byliśmy tu 6 lat wcześniej, ale jedynie po stronie Zimbabwe). Wszyscy uważają, że wodospady od strony Zimbabwe są lepsze, jednak teraz z doświadczenia mogę powiedzieć, że jeśli tylko możecie, to odwiedźcie obydwie strony. Po stronie Zimbabwe owszem można obejrzeć dłuższy kawałek wodospadów niż po stronie Zambii, ale po stronie Zambii też są piękne widoki, częściowo z innej nieco perspektywy. Dodatkowo od sierpnia do połowy stycznia można, przechodząc wpław przez rzekę, wejść nad samą krawędź wodospadu, a nawet

kąpać się tam. Na tą ostatnią możliwość nie byliśmy przygotowani (ja byłam w spódnicy), ale się odważyliśmy i nie żałujemy, choć perspektywa tego, co może się tam wydarzyć jest przerażająca. W każdym razie każdy kto się odważy będzie miał pełną emocji wyprawę – myślę, że to większa i pełna adrenaliny przygoda niż rafting, czy inne atrakcje oferowane w okolicach wodospadu. Jedno jednak trzeba zaznaczyć – na chodzenie po wodospadach lepiej nie wybierać się samemu. Polecamy wziąć przewodnika, który wie, którędy iść i zawsze pewnie podtrzyma nas, gdy się zachwiejemy pchani nurtem rzeki. W porze obiadowej poszliśmy do hotelu Sun International znajdującego się na terenie wodospadów. To ekskluzywny hotel, ale obiady oferuje w bardzo przyzwoitych jak na Zambię cenach, a do tego obsługa jest pierwszorzędna i schabowy wyśmienity – polecamy.

18.12.2011 Livingstone -> Lusaka (18403 km)

Chcieliśmy dziś polecieć parolotnią nad wodospadami, ale poranek przywitał nas całkowitym zachmurzeniem i jednak zdecydowaliśmy się wrócić do Lusaki. Tym razem pojechaliśmy z firmą Mazhandu Family Bus Company, którą spokojnie możemy polecić. W przeciwieństwie do Shalom, którym jechaliśmy z Lusaki, autobus tej firmy miał w rzędzie tylko cztery siedzenia o normalnych wymiarach a nie pięć węższych jak w tamtym. Dzięki temu komfortowo dojechaliśmy na miejsce. Trzeba dodać, że cena za przejazd była taka sama. Po sposobie podróżowania widać, że Zambia jest bogatsza niż np. Malawi czy Mozambik. Tu jedzie tylko tyle osób, ile jest siedzeń. Nie spotkaliśmy się z tym, żeby w rzędzie było upychanych więcej pasażerów niż jest siedzeń. Standard autobusów też jest znacznie wyższy. W Lusace okazało się, że w Lusaka Backpackers nie ma już żadnych wolnych miejsc. Zabraliśmy więc jedynie zostawione wcześniej nasze bagaże i poszliśmy ulicę dalej do Kalulu Backpackers. Kalulu oznacza królik w miejscowym języku i rzeczywiście po ogródku biegła cała gromadka tych sympatycznych zwierząt. Na tej samej ulicy zresztą jest jeszcze jeden hostel, także obecnie w obrębie dwóch sąsiadujących ulic są aż cztery hostele.

19.12.2011 Lusaka (18403 km)

Ktoś kto zamierza zwiedzać Lusakę naprawdę może się poczuć jakby był poza standardową ścieżką turystyczną. Dla większości to jedynie przystanek w drodze z jednego miejsca do drugiego w Zambii i sąsiednich krajach. Nie ma zresztą co się dziwić. Lusaka nie ma praktycznie nic do zaoferowania turystom. Nawet Muzeum Narodowe, które odwiedziliśmy z rana było dość zapuszczone i przygnębiające. Najciekawszą jego częścią była ta poświęcona szamanom i maskom używanym przy różnych rytualnych okazjach. Właśnie trwała tam przebudowa, więc jest nadzieja, że może kiedyś to miejsce będzie ciekawsze. Następnie poszliśmy pod Freedom Monument, pomnik poświęcony ludziom, dzięki którym Zambia uzyskała niepodległość. Potem pospacerowaliśmy po Cairo Rd i zrobiliśmy ostatnie zakupy w nowo otwartym centrum handlowym Levy. Resztę dnia spędziliśmy odpoczywając w hostelu.

20.12.2011 Lusaka -> Johannesburg -> Frankfurt

Rano po śniadaniu udaliśmy się z przemiłym taksówkarzem na lotnisko. Chcieliśmy złożyć skargę w biurze Pro-flight na kierowniczkę z Mfuwe, ale nie było w biurze szefowej firmy i dostaliśmy jedynie jej adres mailowy, na który jak nam powiedziano możemy złożyć skargę. Lotnisko w Lusace jest małe. Ważne, żeby przed nadaniem bagażu i podstemplowaniem paszportów wymienić wszystkie kwacze, bo później nie ma już takiej możliwości. Wszędzie stały świąteczne choinki – dziwny widok. Lot do Johannesburga odbył się spokojnie. Z samolotu mogliśmy jeszcze podziwiać jezioro Kariba. Z kolei lotnisko w Johannesburgu jest duże, dzięki czemu czas szybko upłynął nam w oczekiwaniu na samolot. Zapominalscy mogą tam spokojnie zrobić zakupy i zjeść coś dobrego. Z żalem opuszczaliśmy Afrykę, zastanawiając się, gdzie następnym razem chcielibyśmy przyjechać.

21.12.2011 Frankfurt -> Wrocław

Frankfurt przywitał nas zimową aurą. Na lotnisku leżał świeży śnieg. Od razu mogliśmy poczuć różnicę temperatur pomiędzy Afryką a Europą. Lot do Wrocławia był trochę opóźniony, bo ze względów pogodowych samolot później wyleciał z Wrocławia. Kiedy już jednak wsiedliśmy na pokład LOT-u od razu poczuliśmy się jak w Polsce. Tylko u nas stewardesy pytają się, czy herbatę podać z cytryną czy bez. Niby taka bzdura, ale jednak wygodniałemu trampowi po

długiej podróży może się zrobić miło. Kiedy wylądowaliśmy we Wrocławiu padał okropny deszcz i wiał silny wiatr. Śniegu nie było, ale wydawało nam się, że jest strasznie ciemno i ponuro. No cóż, na słońce trzeba nam będzie jeszcze trochę poczekać.